№ 49. Warszawa, dnia 27 Listopada (9 Grudnia) 1885 r. Rok XX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20

NA RUINACH.

Kwitnącą niegdyś siłę życia mierzyć
Omszonych grobów ilością,
I kochać gruzy, a w ruinę wierzyć,
Spoglądać w prochy z ufnością,

Dawną potęgę wielbić, czuć, a przeżyć,
Nie módz nic wskrzesić miłością;
Własnego serca bicie czuć, a nie żyć
Czynnego życia pełnością;

I na to ducha swego moc rozszerzyć,
By się spotkać z znikomością!—
Boże! nam, cośmy takim prochem—wierzyć—
Wierzyć - tylko trzeba, żeś Ty wiecznością
Jest, która cały wielki świat pochłania
W sobie, prowadząc go przez śmierć do zmar-
[twychwstania.

Szczęsna.

ZŁAMANA TARCZA.

(Dalszy ciąg).

Czy życie może jeszcze trwać, skoro wszystkie jego cele przepadną, nadzieje znikną, gdy człowiek nie ma już na ziemi nic, coby go do niej przywiązywało? A jednak nieszczęśliwi rodzice żyli; może litość, jaką jedno czuło nad drugiem, sprawiała, że tłumili w sobie ból, co patrzącym na nich ludziom jeszcze przymnażało żalu nad nimi. Matka okazywała się niemal mężniejszą, niż ojciec; może płakiwała po nocach, ale we dnie nikt u niej nie widział łzy jednej i zdawała się tylko śledzić wzrokiem niespokojnym, co się dzieje w sercu męża, dla którego stała się teraz jakgdyby matką i żoną razem. Kniaź Konstanty do gospodarstwa, do dozoru nad niem siłą się pchał. Nie chciał nic z dawnego trybu życia opuścić, czyniąc to zapewne z jakiejś dumy męzkiej, ugruntowanej na obowiązku chrześcijanina, który uczy, że boleść nie powinna człowieka łamać, bo nie dla rozkoszy samej, jest on na świat zesłany. Dawni ludzie tak to pojmowali, i może było im z tym lepiej, a że przytem kniaź Konstanty, starych stoików czytywał, złączyło się to w nim na powierzchowne chociaż złamanie ości cierpienia. Jak dawniej sam gumiennemu dyspozycye wieczorami wydawał, roboty ordynował, a w dzień szedł do stodół, do ludzi w pole, gdzie siano, gdzie podorywano, a potem wracał zmęczony i nie byłby już wtedy ani nic jadł, ani pił, gdyby nie opiekunka troskliwa, która mu to poddawała. - Dziękuję ci, moje życie, nie jestem głodny — mówił, odsuwając półmisek—ale ona wiedziała, że z miłosierdzia nad nią nie powie, że jużby rad nigdy nic w usta nie wziąć. — I ja też nie przy apetycie...—mówiła, a wtedy on podnosił na nią wzrok niespokojny, patrząc, czy nie bardzo zmieniona, biedna matka sierota, i przymuszał się sam, aby ją za sobą pociągnąć. Nieraz spojrzeli potem na siebie oczyma, które wydawały wzajem, czego usta nie chciały wyrzec, i stary kniaź przyciągał sobie do serca tę wierną towarzyszkę życia, dla której dobywał sobie z serca sił ostatek.

Ona wiedziała, że im obojgu byłoby lepiej, gdyby tak którego dnia kazali sobie przynieść słomy prostej, kazali sobie zapalić gromnice i zamknęli oczy na odpoczynek wieczny. Wiedziała, a jednak zabiegała koło męża z tkliwością matki dla małego dziecka, bo biedne kobiece serce kazało jej ten cały instynkt zachowawczy, który natura mieści w każdej piersi ludzkiej, przelać na męża. Broniła go więc przed śmiercią—broniła go tak mężnie, tak uparcie, może nierozumnie przed tem właśnie, coby dało już kres cierpieniu, jak inni bronią w podobnych razach istnienia własnego, uparcie, nierozumnie, bo przecież grób byłby wtedy wygodniejszym, łaskawszym domem, niż ten, w którym życie mieszkać każe. I sama trzymała się przez to życie, trzymała go się właśnie przez kleszcze boleści.

— A ktoby tu już o tego biedaka dbał, ktoby mu tu już czemś był?!—mówiła sobie wzruszona żałośnie, gdy złapała się czasem na bolesnej modlitwie do Boga, aby nie dał jej długo deptać twardej dla stóp jej ziemi.—Ktoby mu rano przyrządzał jego grzaną polewkę, ktoby mu wieczorem rzekł:—Dobranoc... i zrobił przytem w cichości krzyżyk, broniący od złego przypadku? Łzy jej płynęły z oczu przy tym wystawianym sobie obrazie osamotnionej jego starości, a on powtarzał też w duszy to samo, patrząc na nią litośnie. Uważał z dnia na dzień, jak z dnia na dzień przybywa jej na twarz zmarszczek, jak z dnia na dzień siwieje więcej. Kniaziowa Irena była niegdyś bardzo ładną; w cichem, spokojnem życiu wiejskiem trzymała się nad wiek młodo, zachowując ślady dawnej urody. Była białego delikatnego lica szatynką, zachowała aż dotąd gęsty, jak rzadko długi włos, i kniaź Konstanty, który się z gorącej miłości żenił, jedwabiste warkocze żony zawsze bardzo lubił, miał w nich pewną dumę, że piękniejsze są niż u niejednej panny; teraz też patrzył z żalem, z goryczą wielką na tę żony siwiznę nagłą...—Nieboga! nieboga! — myślał — lepiejby jej było niedoczekać tego, odejść wcześniej...

Ale nie przypuszczał nigdy, aby ona odumrzeć go, lub przeżyć mogła. Nie wyobrażał sobie poprostu tego rozłączenia z nią i tylko mówił do

niej nieraz w duszy swojej: — Niedługo już, moje życie... niedługo już...

Z początku sąsiedzi nawiedzali ich nieustannie. Gdzie kto usłyszał coś, co mogło być choćby nadzieją dobrej wieści, choćby nadziei tej iskierką najmniejszą, jechał zaraz do rodziców nieszczęśliwych cieszyć, ale coraz mniej tego było i gość stawał się w Kniaziowym Kamieniu coraz rzadszym. Nie opuszczeniem to było, o! nie... ale ludzie prawie nie śmieli zbliżać się do tej boleści, o której każdy wiedział, że jest, że musi być bezmierną—nie śmieli zajeżdżać tu ot tak, w zwykłym biegu spraw ludzkich. Jak tu przybyć do tego domu żałoby, aby rozmawiać, jak tegoroczna pszenica plonuje, albo mówić, że tam się urodziło dziesiąte dziecko, a tu małżeństwo się szykuje?... Nie śmiano; z wielkiego uszanowania tych ludzi nieszczęśliwych szedł od nich na innych, jakgdyby strach, i poczęła się wytwarzać wkoło nich pustka, zaczęła ich ogarniać już za życia głusza, jakgdyby grobu.

Wielką stało się to szkodą, że stolnikowej nie było w Horycy już od paru miesięcy. Pani bogata, rodzinnemi obowiązkami niezwiązana, lubiła wyjeżdżać na czas niejaki w swoje strony rodzinne, do braci, do sióstr. I teraz też wyjechała tak właśnie, zanim stało się to jakby pewnością, że młody kniaź na wojnie zginął. Rodzice już zaczynali się niepokoić, wieści trwożące zaczęły już po okolicy krążyć, ale jeszcze nic nie było, coby nieszczęście czyniło pewnem, a stolnikowa potrzebowała jechać w terminie oznaczonym, bo starszy jej brat pierwszą córkę za mąż wydawał i chciał wyprawić jej wesele sute. Szła właśnie za kogoś, co też pod Wiedniem był; przez listy wiedziano już zawczasu, kiedy w domu z powrotem stanie, i chciano, aby ślub zaraz się odbył, dla tem większej wspaniałości witanego wprost z pola rycerza, który blask wiktoryi na sobie miał. Mówiono w kraju o tem zwycięztwie na Turkach z tem większym animuszem, że Kamieniec ludziom na sercach ciążył i jakże tu było stolnikowej na takie wesele siostrzenicy nie jechać? Pożegnała księżnę Irenę prawie ze łzami, postanowiła codzień mówić na jej intencyą modlitwę do Opatrzności Boskiej, ale pojechała, bo familia jest przedewszystkiem familią i obowiązki swoje na człowieka nakłada.

Raz przed wyjazdem p. Anna, znalazłszy się z księżną Ireną sam na sam, rzuciła jej się ręce całować ze łzami wielkiemi. Stolnikowa wiodła z kniaziem Konstantym dyskurs o rzeczy publicznej i gdy księżna Irena, jak zwyczajnie gospodyni w domu pośrednim, wyszła za rozporządzeniem podania czegoś gościowi na stół, chorążanka znalazła się przy niej i chcąc cóś mówić, coś wyjawić, a nie śmiąc, zapłakała tylko i byłaby jej jak córka matce do nóg klękła, gdyby księżna nie była ją od tego wstrzymała. Kobiecem sercem odgadła, co jest w tych łzach dziewczyny, co jest w tem jej garnięciu się do niej żałosnem, i przytuliła ją też sobie do piersi, jakgdyby rodzoną swoję.—Oh! jak mi ciężko jest ztąd jechać...—mówiła chorążanka wśród łkań tłumionych — jak ciężko! Zostałabym tu choćby o chlebie i wodzie... zostałabym w izdebce najmniejszej...

Patrzyła zapłakanemi oczyma w oczy matki kochanego, a dalekiego, Bóg wie jak dalekiego młodzieńca, a ta tuliła ją do piersi i uspakajała jak mogła. — Wrócisz, Anulku, bogdaj w czas lepszy. Bóg cię łaskawie przyprowadzi — mówiła.

Chciała pocieszyć młode serce i zdobyła się na to mężnie.—A czy wiesz, Anulku — rzekła — że p. Skarbnikiewicz, który tu parę dni temu u kniazia był, mówił, że te kompanie towarzyszy, którzy od granicy węgierskiej na osobnika się puścili traktem bliższym i potem nie mogli się wywlec z błot, na jakie trafili, teraz właśnie poczynają do domów się ściągać. Wróciło już kilku na Ruś naszę i może skoro tu na wiosnę zjedziesz, będzie już i u nas wesoło...

Głos jej się stłumił, ale nie rozpłakała się, bo wtenczas jeszcze było u niej w sercu trochę, trochę nadziei tej, którą dziewczęciu dawała. Pozwoliła jej, jak córce, ręce sobie całować i gdyby też chorążanka była tu teraz, miałaby z niej pociechy choć odrobinę jakąś. Ale stolnikowa zasiedziała się między swojemi: tem było wesele i wiwaty, tu żałoba i boleść głucha.

Twarda jesień, przyszła, jak zawsze w tamtych stronach, z mgłą gęstą, deszczem, z wiatrami ostremi, które huczały, jęczały po lasach, biły o ściany domów i szamotały drzewami ogrodów. Na wale starym, że był wyniesionym ponad pole płaskie, zdawało się wszystko łamać; rwało gałęzie, ciskało niemi, niosło po ziemi kupy liści zwiędłych. I biedni rodzice, którzy już nie mieli tyle choć nadziei, aby się nicią jakąś trzymać szczęścia, zaczęli teraz uczuwać w sposób dziwny, jakoby strach, myśląc o biednych podróżnych—o podróżnym pieszym, któryby, naprzykład, z choroby wstał i dążył do domu o chlebie proszonym. Wszystkie powieści słyszane kiedykolwiek o zostawionych na pobojowisku między trupami rannych, o uciekających z jassyru rycerzach, w szacie lekkiej, w obuwiu zdartem, stawały im w myśli. Gdy czasem ze szturmu, ze świstu wichrów, wydobył się jęk przeciągły, podnosili oboje głowy.

Wtedy kniaź Konstanty wstawał i, chodząc po komnacie, modlił się. Że go przyuczono do pacierza łacińskiego, taki też, łaciński pacierz szeptał i matce nieszczęśliwej zdawało się, że to jest modlitwa za duszę zmarłych, za dusze pokutujące, które nie mogą trafić do nieba, bo chciałyby pierw ukazać się w miejscach rodzinnych i dać znać o sobie.

Koło Nowego Roku schwycił mocny mróz. Przedtem padał przez trzy dni śnieg, ale taki, że świata za nim nie było widać, a teraz to przymarzło; świat leżał też jak pod całunem. I cicho było, jak pod całunem, wszelki dźwięk tłumił się w mroźnem powietrzu, nawet dzwony parafialnego kościoła, które słyszeć się dawały zpoza lasu, zdawały się dzwonić gdzieś jakgdyby na innym świecie. Że wilki wyły nocami po lasach, wyły, ujadały i psy po wsi, co czyniło bardzo posępnemi te długie noce zimowe, zwłaszcza dla ludzi smutnych, dla tych, co nie mają snu dobrego, a tak właśnie było teraz ze starym kniaziem. Źle sypiał i żona prędko to poznała. — Nie śpisz? ozwała się raz do niego nieśmiało. — Czy ci co jest?...

— Nie, moje życie — odparł. — Starzy ludzie nie mają takiego snu, jak młodzi. Leżę i myślę...

— Ach, kniaziu mój, a o czemże ty myślisz? Kiedy psy zaczną biegać wkoło domu i odszczekiwać tamtym ze wsi, to mi się zdaje, że ktoś idzie drogą. Czy i tobie tak?...

— Nie... ja się już nie spodziewam nikogo, wiem, że już nie przyjdzie nikt...

Nastąpiło milczenie, aż po chwili kniaź znów się ozwał: — Moje życie, ja powinienem ci powiedzieć, o czem myślę nocami bezsennemi. Oboje jesteśmy niemłodzi, prędzej, później, zawsze nam niedaleko do odpoczynku... Odejdziemy ztąd—daj Boże, aby razem!

Słychać było, że ona zapłakała i on zatrzymał się znowu, ale po niedługim czasie zaczął łagodnie. — W pierwszej chwili nieszczęścia, a zwłaszcza tak srogiego, jak nasze, człowiek się buntuje... Czuje w piersi ciężki, okrutny ból, i serce nosi w sobie jakoby ranę, która się krwawi; ale zwolna mityguje się to i mitygować się powinno, bo nie my rządzimy dolą naszą, ale wielka, niewidzialna moc, która jest nad światami. Tak było ze mną... cierpiałem, ale zaczyna już schodzić na mnie pokój Boży.

— Kiedy wszystko już śpi, to ja, moje życie, patrzę przez okno na ten kawałek nieba, które jest nad starym zamkiem i myślę, jak nam należy rozporządzić tym okruchem mienia, które posiadamy, a które nie ma już żadnego dziedzica wedle krwi? Mówią, że ma być wprowadzonym do naszego kraju zakon braci bosych, imienia Trójcy Świętej, któryby wykupywał z niewoli pogańskiej jeńce połapane [1]). Czyby, moje życie, nie oddać im, posiadłości naszej?

Chciałbym, uczynić to ze zgodą twoją, aby ostatnia wola nasza była, jako życie całe, uczyniona we wspólności, podpisana dla wieków potomnych imieniem mojem i twojem, ostatnich kniaziów Hołubów na świecie.

Milczała. Nie mogła przemówić, nie mogła! Psy poszczekiwały, wietrząc coś od lasu, a mąż wiedział, że żona płacze, przyciskając usta poduszką. Nie rzekł też więcej nic, i patrzył na ów kawałek nieba, z którego świeciła mu duża, błyszcząca gwiazda. Niejednę już noc patrzył na nią i ona-to pierwsza zaczęła mu wlewać w pierś to uciszenie, które nazwał żonie zestępującym na niego pokojem Bożym.

Nazajutrz rano, po śniadaniu, gdy, jak zwykle, dziękując za nie żonie, całował ją w rękę, pochylił się i pocałował jeszcze w głowę siwą. — Pamiętaj o tem, com cię prosił — rzekł łagodnie.

Jej usta zadrżały. — Trochę, trochę jeszcze czasu mi daj, kniaziu mój! — odparła błagająco. Trochę jeszcze czasu...

Ostateczne już wydziedziczanie z nadziei, ostateczne z niej ogołacanie dało poznać matce biednej, że skryta gdzieś na dnie serca, była tam przecież, wrosła w głąb' i szarpnąć było trzeba okrutnie, aby ją wyrwać z korzeniem. Mąż to zrozumiał i uczuł wielki żal, że nieboga miała to jeszcze w sobie, aby się z tem rwać, aby to tracić: on już z tem skończył, ale zapragnął też skończyć i ze wszystkiem. Chciał tak rozwiązać nici wszelkich obowiązków ludzkich, aby, gdy śmierć przyjdzie i zawoła, odejść zaraz — spokojnie. Chciał tak załatwić sprawy życia, aby, jak gospodarz dobry gospodarstwo swoje, zostawiał je w porządku, w ładzie niedopuszczającym zamieszania. Niech mizerna jego spuścizna nie stanie się nikomu kamieniem obrazy, niechaj nie będzie powodem do nieprawych sporów i kłótni. Człowiek uczciwy, chrześcijanin dobry uważał sobie za powinność, aby się to nie ciągnęło za nim, niepokojąc może ducha, tam, gdzie ujdzie.

Pragnął tego stanu i dla żony, ale boleść jej jeszcze nie dojrzała do niego, markotny też odszedł do kancellaryi swojej, gdzie siadł przy biurku. Miał zwyczaj zawsze tak czynić porankami zimowemi; po śniadaniu żona szła do swego gospodarstwa, on do osobnej, spokojnej komnaty, na uboczu, gdzie pisał, czytał, miał księgi swoje zebrane. Dawniej o tej porze porannej notował zwykle, co w dniu ubiegłym zaszło ważniejszego, co słyszał godnego pamięci, ale od pewnego czasu porzucił to, jakgdyby nie było już dla niego wypadków na świecie i prędzej siadał do książki. Senekę począł czytać w czasach ostatnich, i pisarz ten, choć pogański, uspakajał mu duszę, podnosząc myśl nad marność jednego ludzkiego losu, bólu jednego ludzkiego serca. Dzień nie był jeszcze zupełny, na kominie palił się przecież ogień wielki i dawał światło. Na biurku stała gruba woskowa świeca, którą zwykł był zapalać sobie sam, ale dziś nie uczynił tego, bo dziś nie ruszał książki. Czuł szczególny żal nad żoną, a może i nad sobą samym, bo dotknąć musiał samej już rany serca—i rana zabolała.

Dwa wejścia były do tej komnaty jego. Jedno, od jadalnego pokoju przez kredens i dalej przez kurytarz; drugie, od sionki z boku domu, wychodzące przecież na dziedziniec frontowy. Kniaź usłyszał naraz, że tam ktoś idzie. Psy o te czasy już były powiązane: więc mógł iść cicho i ktoś obcy, a zastukał też, jak obcy. Kto to taki mógł być? Kniaź zadziwiony jednak wstał, otworzył, i—cofnął się w tył...

Wszedł człowiek wysoki, w futrze, poszlachecku ubrany. Łuna ognia padała na niego wprost i ukazywała, że jest młody, może w trzydziestu kilku latach, blondyn, wysokiego czoła i pięknego, męzkiego oblicza. Wąs był jasny, długi; oczy niebieskie, duże, wypukłe, wlepiły się w starego kniazia. Błyszczące były, poważne, czy smutne.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł głosem nizkiego, altowego tonu, miłym prawie, jak muzyka. Trzymał się niedaleko drzwi i dodał zaraz, że przybywa za służbą, że miejsca podstarościego szuka.

Kniaź nie potrzebował. Miał ludzi dawnych, gumienny służył mu dostatecznie, a nie dodał, że jemu teraz i mniejszego zbioru i mniejszego do-

1) Zakon Trynitarzy został wprowadzony do Polski w 1685, czyli temu lat 200. Przybywał z Hiszpanii, gdzie został założony dla wykupywania jeńców z niewoli Maurów. Pozwolenie wprowadzenia go do Polski dał Papież Inocenty XI. Pierwszy klasztor regularny ufundowany w Warszawie w r. 1693. (*P. aut*).

statku — było dość. — Zkąd wasze? — zapytał przecież.

Aż zza Lublina był; znalazł się w tych stronach, bo mu tu stręczyli jedno miejsce dobre, ale spóźnił się i ominęło go. Przyjechał więc tu, bo słyszał od ludzi, że może je także znaleźć, i niezgorsze.—Będę wam, kniaziu, służył wiernie, będę wam służył pracowicie—dodał prosząco, a słuchającemu się zdawało, że głos mu drżał, jak od wzruszenia.

I kniazia to poruszyło, ale się razem zląkł prawie, co to za jeden być może? Świadectw żadnych nie miał, nie sługiwał dotąd nigdy, tłómacząc to, że na ojczystej części z bratem gospodarował. Rozdzielił się z nim, gdy ten się ożenił i dla niezgody z bratową kąta dla siebie szukał. Prosił się prawie i powtarzał: — Będę służył pracowicie od świtu do nocy, będę wierny, jak pies....

Że od ognia, od czerwono płonących węgli brzozowych stawało się w komnacie gorąco, a on mówił to bardzo żywo i krew biła mu wtedy do głowy, obrócił się też naraz i zrzucił futro na krzesło koło drzwi, jakoby mimowolnie, ruchem szybkim, zgoła nie jak podstarości, i ukazał się wtedy mężczyzna, silny, ale wcale nie ciężki chłop, o, nie... Zbudowany był pięknie, męzko, a przytem kształtnie, jak nieczęsto zdarza się widzieć i możnaby powiedzieć, że rycersko, pańsko. Ubrany był cały w szaraczek, pasem skórzanym spięty w pół, buty miał węgierskie, wysokie, a we wszystkiem tem wyglądał niby jaki senatorski syn, któryby się na drogę, na polowanie zprosta odział. Kniaź wpatrzył się w niego, wrażenie takie odbierając właśnie. — Jezus! Marya! kto zacz jest? — mówił w sobie.

To naleganie o służbę, aż pokorne, dodawało zadziwienia i niepokoju.—Czy nie banita jaki?— pomyślał w końcu.

— Nic wasze nie przedstawiasz, trzebaby jednak wiedzieć, jakeś się bawił dotąd?... — rzekł, choć mu to z przykrością przychodziło wymówić. — Sam chyba wiesz, że ludzie radzi znać człowieka, z którym sprawę mają mieć...

— Czy nie rozbójnik, czy nie łotr?—przerwał przybyły z goryczą...

— No, tak—nie; nie patrzysz wasze na to, ale zawsze kto?...

On się posunął ku kniaziowi krokiem. —A jeślim człowiek nieszczęśliwy, bezdomny? — rzekł smutnie.

A może pokutnik? — dodał.

Oczy się spotkały spojrzeniem wprost w spojrzenie, kniaziowi serce się poruszyło; niespokojnym się stawał, ale już nie z obawy. Zdarzała mu się rzecz niezwykła. — A może pokutnik?...— powtarzał sobie. Religijne jego uczucie podnosiło się w piersi, obejrzał się mimowolnie w stronę biurka, gdzie stał krucyfix: na czarnym krzyżu rozpięty był biały Chrystus z kości słoniowej, a że już dzień był prawie jasny, widzieć się więc dawał z żółkłą przez czas białością, z głową pochyloną, w koronie cierniowej.

Przybyły rzucił też wzrok za kniaziem i żywo się posuwając, wyciągnął rękę ku krzyżowi.—Niech mi to będzie świadectwem, co przysięgnę na Ukrzyżowanego, że nie kłamię. Nie rozbójnik nie łotr, nie wydzierca mienia cudzego stoi tu, kniaziu, przed tobą.

— Chcę ci służyć, bo mi tego trzeba, bom, jak powiedziałem—bezdomny!....

— Niech-że tak będzie — odparł kniaź. — Ja mam dom, ale w nim pusto....

Zamilkli obaj na chwilę, aż kniaź ozwał się znowu bardzo łagodnie.—A jak się wasze zwiesz? Czy szlachcic?

Tamten wyciągnął rękę. Miał na serdecznym jej palcu sygnet złoty z krwawnikiem. Na pięknie rzniętej tarczy był herb.

— Pobóg.... rzekł kniaź.

— Tak, Pobóg.... Jan Pobóg...,

Już nie przez chęć dociekania, ani ciekawość, ale przez proste nawyknienie, kniaź zapytał:— A z których Pobogów? Z Podola?

— Nie, z Wielkopolski.

Rumieniec gorący oblał mu twarz. Ten jeden raz się zarumienił. Prosił pokornie, choć postawa cała wydała w nim raczej hardość, niż uniżoność; ale teraz dopiero oblała go krew, tak aż czoło stało się czerwonem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NASZE TOWARZYSTWA

i salony w rozmaitych epokach.

ODCZYT

Piotra Jaxę-Bykowskiego.

Zgrzeszyłbym zarozumiałością wobec szanownych słuchaczy, gdybym usiłował w tych dwu krótkich posiedzeniach zgłębić do gruntu wszystkie objawy naszego towarzyskiego życia. Moim zamiarem jest tylko przedstawić główniejsze jego zmiany i przewroty w rozmaitych epokach, wzrost na własnych podstawach i swojskim gruncie, oraz upadek przy nagłem i gwałtownem zcudzoziemczeniu. Przyczem ośmielę się zwrócić pobłażliwą uwagę na tę okoliczność, iż traktujący o tym przedmiocie nie obfituje w materyały i źródła; albowiem zapóźno przystąpiono u nas do badania przeszłości, bo wtedy właśnie, kiedy najważniejsze ku temu materyały poszły w rozsypkę i kiedy zbrakło starców, bardziej do przeszłości zbliżonych.

Poważny dawny kronikarz, nie mogąc przewidywać, iż otaczającego społeczeństwo zmieni się kiedyś do gruntu i ten ciasny światek rodzinny stanie się niemal mytem dla przyszłych pokoleń, mniej nań dawał baczenia, lub rzucał pomiędzy poważnemi wierszami coś od niechcenia, w czem jakby w hieroglifach, rozczytywać się trzeba, chcąc przyjść z tych okruchów do wytworzenia jakiejś całości.

Zbytecznem byłoby dowodzenie: oile gruntowna znajomość tej części dziejów nieodzowną jest dla historyka, osobliwie przy dzisiejszym postępie nauki. Lecz również ważną jest ona dla poety, artysty i autora; gdyż bez niej sztuka, zacieśniona w granicach kosmopolityzmu, stać się nie może narodową. Nieświadomość zaś tworców w tej mierze, błędne wyradzając pojęcia u ogółu, udaremnia tylko prace poważnych badaczy.

Grzeszy temu nas belletrystyka, a szczególniej powieściopisarstwo, zbyt absolutnie obchodzące się z przeszłością, gdy żywi to błędne mniemanie, iż dla dokładnego jej przedstawienia dość użyć na chybił trafił kilku przestarzałych wyrażeń lub archaicznych zwrotów, a, dołatawszy poomacku jakiś szczególik dziejowy, ochrzcić powieść szumnem mianem „historycznej.“

Ztąd znane są niektóre nowsze utwory, lubo nawet zalecające się z innej strony, a jednak brak właśnie głębszych studyów w autorze sprawia to, iż wielu z jego kontuszowych bohaterów wygląda zakuso i nie podawnemu. Lecz nie nasze obecnie zadanie mówić o tem i: jeżeli się o to potrąciło, to jedynie, aby dać do poznania jak ważnem jest dla sztuki krajowej i, piśmiennictwa bliższe obeznanie się z domową przeszłością przodków. Trudna to dziś, zaprawdę rzecz, przy zatracie materyałów i rozproszeniu tylu cennych pamiątek, które drgały jeszcze życiem przy swem znikaniu. Pozostaje więc bardzo mozolne zadanie dochodzenia przez analogią i porównanie; badacz musi często poczynać sobie na wzór naturalistów, którzy z małych cząstek skieletów zaginionych źwierząt budują całość na naukowej podstawie.

Dla oryentowania się w tym labiryncie, szczególnie przy braku u nas osobnej historyi obyczajowej, dwie pozostają drogi: albo, jak Szajnocha, który jeden z pierwszych u nas historyków, ściśle połączył dzieje polityczne z obyczajowemi, wczytywać się i szperać z benedyktyńską wytrwałością w starych księgach i kronikach, albo czerpać te wiedzę z tradycyi, a przytem posiadać już od natury osobny dar, że tak nazwę instynkt i intuicyą, aby dojrzeć przeszłość i przez grubą minionego czasu zasłonę. Do rzędu tych ostatnich należy bez zaprzeczenia Henryk Rzewuski.

Rzewuski, człowiek raczej światowy aniżeli erudyt, dowcipny bardzo, życie przebiegł wesoło, a pewno, jak Szajnocha, nie grzebał się w kronikach i starych pismach, aż do wzroku utraty. A jednak jaka w nim znajomość towarzyskiej przeszłości! Weźcie jego stare powieści, nie mówię co do zasad, bo nie z każdą się zgodzić można; pomińcie nawet intrygę często słabą. Ale spojrzcie na każdego bohatera zosobna: to, gdy ci szablą machnie, zda się czytelnikowi, że mu coś zaburczało koło ucha; gdy się rozpłacze, niezawodnie zwilgnie ci oko; a na jego śmiech odpowiesz śmiechem serdecznym. Postacie Rzewuskiego zdają się wracać z dawnego świata; każda krew ze krwi, kość z kości. Co zaś do *Pamiętników Soplicy*, to już arcydzieło, a powiem (uczciwszy uszy niefortunnych naśladowców Rzewuskiego), dotąd unikat w swoim rodzaju.

Zda się tak to niedawno, a już zatraciliśmy i tę tradycyą,—a dla czego?

Bowiem doniedawna jeszcze, czego nie dopisali kronikarze, czerpaliśmy z żywych źródeł noszących na sobie niezatarte jeszcze piętna przeszłości.

Któż z nas przed mniejwięcej półwiekiem, nie miał w rodzinie, lub przynajmniej nie oglądał, jakiegoś starowiny dziadka, czy pradziadka, dyszącego dawnem życiem, będącego jakby zabalsamowaną przeszłością, który z ferworem, *mocium panie, dyskurował* o dawnych czasach—*dulcis recordatio praeteritorum*! Kiedy zaś starowina nabrał fantazyi i animuszu, łapał się jeszcze za lewy bok, choć już bezbronny, a z sierdzistej miny czuć było, że adwersarza na dwoje rozpłata.

Pomimo lat podeszłych, gdy się dostał na siodło, jeszcze potrafił podawnemu harce wyprawiać.

Kiedyś to przy rodzinnym kominie, z tych ust dziś już zastygłych, jak w kalejdoskopie, toczyły się przed oczami nowych pokoleń urocze obrazy starej przeszłości. Stokroć szczęśliwy, kto czytał tę księgę już dziś nazawsze zamkniętą.

Zanim przystąpię do rzeczy o samych towarzystwach, zastanowić się wypada nad charakterem i usposobieniem dawniejszych ludzi. Najpierw, towarzyskość, leżąca w naturze człowieka, była główną cechą charakteru Polaków, a okraszały ją: wesołość, łagodność, poszanowanie starości i płci słabszej, nakoniec—nieograniczona gościnność, a co za tem idzie, popęd do wystawności i zbytku.

Nasi przodkowie odznaczali się przednim, niezrównanym humorem i dowcipem. Ślady tego niezatarte pozostawili poeci i pisarze dawnych wieków: Rey, Kochanowski, Górnicki, Grochowski, Morsztyn i wielu innych.

Dawny *polonus* bywał *rubaszny i jowialny*. Dwa te przymiotniki zrośnięte z usposobieniem naszych przodków, dziś już dla nowszych są mniej zrozumiałe. Przez „rubasznego“ wyobrażam sobie człowieka wesołego, z pewną powagą i rozumem, a wrodzonym dowcipem. Jest on weredyk, opowiada wszystko dosadnie, *dokumentnie*, określa trafnie; dla wypowiedzenia czegoś nie krępuje się żadnemi względami światowemi: ale przytem oszczędza cudzą miłość własną, gdzie potrzeba, a we wszystkiem przestrzega przyzwoitości i dobrego smaku, puszczając zaś wodze wesołości, zawsze pozostaje statecznym.

Na określenie „jowialnego“ nie zadam sobie pracy, gdyż unieśmiertelniło ten typ genialne pióro starego Fredry w komedyi *Pan Jowialski*. Tu dopiero postać ze starego żebra wyjęta. Z młodości mojej zapamiętałem paru takich „Jowialskich“, którzy podczas baraszkowali sobie, jak żaczkowie na rekreacyi, a rozweselając młodszych, szanowali przytem cudzą godność i drażliwość.

Do nich-to można zastosować przysłowie dawne: *dobry żart tynfa wart*. Nie myślcie jednak, aby tamtoczesna jowialność mogła być porównana z dzisiejszą uszczypliwą złośliwością salonową, a jak ją zowiecie „kostycznością“. Ażeby trafnie zestawić jednę i drugą — powiedziałbym, że w jowialności, choć niekiedy znalazła się pewna goryczka, dla smaku cukrem grzeczności i dowcipu zaprawna,

kiedy tymczasem dzisiejsza złośliwość wstrętną cierpkość żółci posiada.

W zabytkach dawnej mowy naszej przebijają się ślady uprzejmości i szacunku, jakiemi się wzajemnie obdarzano. Owe formuły towarzyskie tytułowania: *wasza miłość*, *miłościwy panie*, co się w skróceniu na *jegomość*, *waszmość i waść* przerobiło, oraz sposób witania i żegnania: *Upadam do nóg*, *rączki całuję*, *do stóp się ścielę*, *submittuję się wmość panu dobrodziejowi* i t. d., przez nowszych tak wyszydzane, zawierały pewien stopień towarzyskiej ogłady, tembardziej w czasach dawniejszych, kiedy nie szafowano poufałością, a form więcej przestrzegano.

W opisie naszych towarzystw nie sięgnę zbyt odległych czasów, kiedy nasi pierwsi książęta i królowie, dorabiając się orężem potęgi i ziemi, wojowali z sąsiadami lub i pomiędzy sobą. Wtedy bowiem i naród przy ich boku wiodąc obozowy żywot, nie mógł się jeszcze spoić w ciaśniejsze węzły towarzyskie. Dopiero po ukończonych zatargach, kiedy trwalsze panowanie pokoju nastawało, razem z cywilizacyą zachodnią, przeszedł do nas duch rycerskości (*de la chevalerie*). Zmieniło się stanowisko kobiety, będącej przedtem niejako sprzętem domowym, strażniczką drobnych dzieci i dobytku. Ona-to, przez wyniesienie na szczebel równości, stała się spójnią i osią około której świat się towarzyski obracał. Ona-to położyła pierwsze podwaliny ogłady, estetycznych form i ducha rycerskiego.

Niektórym mylnie się zdaje, iż dawne czasy były jedynie panowaniem oszczędności, ascetyzmu i maceracyi ciała. Szczególniej starcy, skwapliwie potępiający czasy nowsze, co często bywa wrodzoną podeszłego wieku przywarą, zwykli prawić, jak-to dawniej nie znano zbytków, jak żyło się cicho i skromnie. Jako żywo!—nie mamy dziś o tem pojęcia, a nawet wyobrazić sobie nie zdołamy, jak zbytkowali i weselili się dawniejsi ludzie, ile do zabawy umieli wprowadzić rozmaitości, ile różnobarwnych żywiołów, uciechy.

My, ludzie dzisiejsi, których udoskonalenie przenośnych środków, zbliżyło niejako z całym światem, pojąć nie możemy tej pierwotnej, wszystkiemi porami tryskającej wesołości, bośmy przestali być sobą samymi; wdziewamy tylko maski naśladownictwa, począwszy od powierzchownych oznak, krępujemy się modą, a przybierając obce zwyczaje, zatraciliśmy ten pierwiastkowy animusz samoistny — nasz własny. Naśladownictwo, ta choroba wieku, zabija w nas własną istność i chwyta towarzyskie życie w kleszcze urojonej przystojności t. z. konwenansów.

Zdaje nam się, że my tylko zbytkujemy, a niezawodnie nigdy nie było oszczędniejszych czasów nad dzisiejsze. Niewątpliwie nie zdołalibyśmy przeliczyć tych miliardów, które pochłonęły żołądki i gardła ojców naszych. Czyliż *np.* dziś najbardziej zbytkujący smakosz jest zdolnym wyprawić ucztę Wierzynkową, wydaną na wesele wnuczki Kazimierza W. z cesarzem Karolem IV, kiedy wspaniały amfitryon raczył u siebie, krom własnego monarchy, czterech innych potężnych mocarzy? Szkoda, że nikt tam nie spisał potraw i napojów — czyli jak wy dziś *menu* nazywacie. Wiemy, że hojne dary gospodarza dla gości, dochodziły 100 tysięcy czerwonych złotych. A jakiż to magnat lub najbogatszy bankier uraczy tak i obdaruje dziś swych gości, jak ów mieszczanin krakowski, przed 400-tu laty?—Czyliż-to był wiek barbarzyństwa lub patryarchalnej prostoty, kiedy taką wspaniałością ludzie się rządzili?

Lecz to tylko materyalna i zewnętrzna strona. Z kolei przyjrzyjmy się moralnej i duchowej stronie naszego towarzystwa,—tamtoczesnym zabawom, zwyczajom: a dowiemy się ile w nich było poetycznego pierwiastku i form wykwintnych. Gdzież właściwiej szukać tych śladów jeśli nie w Szajnosze, niezrównanym historyku-poecie. Niezawodnie nie stracą moi słuchacze, jeżeli barwnemi słowy tego autora, przytoczę tu rys towarzyskiej wesołości XIV w. Tak się wyraża Szajnocha w dziele: „Jadwiga i Jagiełło“ o młodzieńczej swobodzie umysłu tamtych czasów:

„Ta lekka swobodna myśl, posuwająca się, aż nazbyt często, do zupełnej płochości, ułatwiała wówczas obojętne znoszenie tysiąca klęsk, które przerażają rozwagę ludzi dzisiejszych, znajdowała dziecinną pobudkę do wesołości i śmiechu, w chwilach i rzeczach, które my oziębłością albo powagą zbywamy. Takiesamo płocho-radośne usposobienie wywnętrzało się dalej powszechną namiętnością zabaw, nieskończenie częstszych i szumniejszych niż dzisiaj. Księgi dziejów nie mają zwyczaju zajmować się szczegółowym opisem scen wesołości codziennej. Potrzeba dopiero pilnego wczytania się w kroniki Średnich Wieków, aby pojąć dokładnie do jak wysokiego stopnia posuwała się ta namiętność godów, pląsów, rozrywek. Bawiono się do upadłego zawsze i wszędzie, na dworze królewskim, w kole panów i pań turniejowych, w domach mieszczańskich, w ratuszu, w klasztorze, nawet w kościele.”

„Każdej uczcie, każdej uroczystości, każdej scenie pożycia towarzyskiego dodawały smaku tłumy obowiązkowych *rozśmieszycieli*. Dzisiejszą rozrywkę teatralną, ograniczoną na jedno miejsce i jedną porę dnia, sprawiano sobie wówczas wszędzie i zawsze. Żądał wprawdzie rubaszny smak ówczesny od artystów przedewszystkiem śmiechu i żartów,—i to śmiechu z całego gardła, a żartów ile możności sprośnych. Wszakże mimo taką jednostajność wymagań, potrafił ogół artystów ówczesnych rozramienić swoje rozśmieszające rzemiosło w mnogie różnorodne gałęzie“.

„Najzręczniejsi najdowcipniejsi z takich krotofilników, jak *np. Sowizrzał*, ulubieniec czasów Kazimierzowskich, pozyskiwali rozgłośną sławę, odbywali nakształt dzisiejszych artystów, podróże po miastach i krajach okolicznych, płużyli nieraz w łaskach książąt i królów. Jeszcze wyższy stopień zajmowali tak zwani *rymownicy* czyli deklamatorowie, wygłaszający mową, opowiadaniem, lub gdy ich więcej zebrało się, dyalogiem, utwory ówczesnych poetów gminnych. Były-to, jak widzimy, małe grona artystów dramatycznych, gotowych do popisu na każde zawołanie, pod każdym dachem.

„Snuli się oni po kraju w niezmiernej liczbie, w dziwnie pstrej zamieszce stroju, języków i instrumentów. Tu wędrowny Serb z gęślą opiewał bohaterów swojej ojczyzny; owdzie wejdaloto litewski bawił słuchaczy polskich hymnami na cześć Wejdawuta; gdzieindziej niemiecki pieśniarz z lutnią nucił rubaszne śpiewki miłosne; wreszcie gdzieś, w cieniu lipy wiejskiej, srebrnobrody dziad z lirą głosił żale Ludgardy; u dworu zaś śpiewali cytrzyści nadworni. Wogóle nasze dzisiejsze zamiłowanie muzyki, jakkolwiek żywe i szeroko uorganizowane, nie może iść w porównanie z wesołą Średnich Wieków ochotą do śpiewu i szumnej wrzawy tonów. Nie z tysiącem-to lat wspomnień na barkach śpiewa ludzkość ochoczo. O połowę tego życia młodszy świat tamtoczesny nietylko rad przysłuchiwał się gędźbie, lecz owszem sam, co miał siły, nucił sobie, wyśpiewywał, przygrywał. Wesołą piosnką przy lutni uprzyjemniali sobie, jak wiemy, prawie wszyscy biskupi polscy chwilę wczasu miłego. Wesołym wybuchem śpiewu rozpoczynało najwybitniejsze towarzystwo gody taneczne. Nie pląsano inaczej, jeno śpiewając.”

Wszystko co tu przytoczyliśmy z uczonego historyka, nie stosuje się wyłącznie tylko do Krakowa, gdyż zwrócić trzeba uwagę, iż w dawnej Polsce dwór królewski i stolica wcale nie stanowiły, jak np. w tamtoczesnej Francyi, głównego ogniska towarzyskiego. Życie miejskie dawnym Polakom było całkiem mało znane. Przebywali tylko w stolicy lub w grodzie ludzie związani urzędem, zmuszeni potrzebą lub sprawą, albo kiedy potrzeby publiczne, jako to: sejmy, sejmiki, pospolite ruszenie i t. p. sprawy państwowe tam ich powoływały.

Wielu magnatów posiadało dwory na prowincyi daleko liczniejsze i wystawniejsze od królewskich. Każdy zaś szlachcic, nawet chudy pachołek, miłował swój zagon i pod słomianą strzechą stanowił własny dwór czy dworek — na co go stać było. Można zatem śmiało twierdzić, że u nas wieś stanowiła rdzeń i wątek życia towarzyskiego, dawała wzory i mody, do których się stosowały kraj i stolica.

Dla uzupełnienia obrazu spójrzmy i na tę jego stronę. Opisy szczegółowe dworów dalekoby nas pociągnęły nad szczupły zakres opowiadania. Ino dla ciekawości i pojęcia, jak to bywało, przytoczę z ksiąg dawnych opisanie kilku dworów prawdziwie pańskich.

Sławny dwór Tomickiego, biskupa krakowskiego, na początku XVI w., składa się z blizko tysiąca młodzieży, podzielonej na trzy klassy: uboższych w krakowskim zamku w szkole utrzymywał biskup na naukach; możniejszych u siebie w domu, biorąc dla nich najwyborniejszych nauczycieli z akademii; dorosłych z wielkiej familii posyłał zagranicę.

Na dworze księcia Ostrogskiego marszałkował zwykle jakiś wojewoda i pobierał 70,000 złotych pensyi. Paniąt bywało do 2,000 na tym dworze.

Dwór Alexandra Lubomirskiego wojewody krakowskiego, najwspanialszy, nietylko w Polsce, ale może i w Europie, w XVII wieku, składał się z 6.000 sług i wojskowych; w czasie wojny 9,000 osób miewał pod bronią. Tak go ciekawie opisuje Stanisł. Czerniecki, Podstarości Żytomierski, kuchmistrz Lubomirskiego i zarazem Sekretarz J. K. M. Był tedy prezydent dworu, kapelan, bernardynów 2, marszałków 2, pisarzów pokojowych 4, z których jeden, Kitniewski, był potem kasztelanem malborskim; sług rękodajnych 60, krajczych 4; srebrnych kozaków od stroju ze srebra bitego nazwanych 60; różnych ludzi szlachty, Węgrów, Tatarów na dobrych rumakach 300: szablę mieli oprawną, rzędy lite, każdy samowtór. Komorników (to znaczy ludzi służących bez żołdu na własnych koniach) bywało 40. Przyjaciół bardzo wiele przy boku Jegomości bywało, senatorów, dygnitarzy, między nimi książęta, którym jednak *ex humanitate honoraria* co ćwierć roku po kilka tysięcy dawano. Pokojowych prezydent p. Morsztyn; pokojowych synów szlacheckich było 20. Tych ćwiczenia w dzień z łukami, dzidami, kopiami bywały do pierścienia. Odmieniano im szaty jedwabne co ćwierć roku i futra także dawano. Koniuszych było 2, kawalkatorów 3; Koni 60, tyleż masztalerzy; dragonii 200,—Niemców ze swymi officerami i trębaczami. Piechoty węgierskiej 400. Muzyków i śpiewaków 27, między nimi Markiety i Mortes, Włosi, najsławniejsi wówczas w Europie kapeliści. Myśliwców było 30. Doktor Mucharski, 2 aptekarzy, 2 cyrulików. Kuchmistrzów 2 szlachty (pomiędzy nimi autor niniejszego opisu), kucharzy różnych narodów 12, pasztetników 3, piekarzy 4. Zostawił umierając Imci Lubomirski w skarbie 400,000 talarów i 100,000 czerwonych złotych, sukna różnego postawów 400, wina węgierskiego beczek 330, które, nawiedzając ciało zmarłego pana, goście wypili.

U nas szczególniej w dawnych czasach nie było okolicy, któraby w promieniu mil kilku znaczniejszego dworu nie miała; a jeżeli ten nie był prawdziwie pańskim z zasobności i urządzenia, to przynajmniej wysadzał się na gościnność, starając się najwięcej ludzi rozmaitych zgromadzać. Każdy obmyśliwał zawczasu zabawy i wygody, aby współzawodników prześcignąć i zasłynąć gościnnością, która była kardynalną cnotą wszystkich słowiańskich plemion. Lecz nadto u Polaków życie obywatelskie, równość szlacheckiego stanu, należenie wszystkiej szlachty do elekcyi czyniły ją konieczną. Przyjęła się więc gościnność u nas może w części jako dyplomacya, atoli w końcu gorliwie praktykowana, podsycana wrodzonym popędem do towarzyskości, wszczepiła się głębiej, przeszła w krew i życie.

Mnóztwo nam do tego zostało z przeszłości przysłów i pogadanek jako to: „*Gość w domu Bóg w domu. Czapką papką i solą ludzie ludzi niewolą. Lepiej gościa nie przyjmować niż go tudzież wyforować. Rzadkiemu gościowi popiołu na nogi*— przy pożegnaniu zaś mawiano: „*dziękujemy za już a prosimy o jeszcze*“ i t. p. Kryski kanclerz, żyjący w pierwszej ćwierci XVII wieku, powiada, że „po wsze czasy każdy szlachcic gościł u siebie innych, lub sam był gościem, a żaden się samotnie doma nie osiedział“.

Dom każdy tęsknił do gościa, a jeżeli go nie było, przechadzał się gospodarz, gospodyni i panienki domowe od okna do okna, przyglądając się na rozmaite gościńce: zkąd go Bóg nadarzy?

Tworzono sobie rozmaite pragnostyki: kto i zkąd przybędzie? — o których Maskiewicz w pamiętnikach powiada. Ze znaków pewnych przekonywano się o tem mianowicie, jeżeli gospodarza domu lub gospodynię świerzbiało ucho, jeżeli sroka grzechotała około dworu, albo jeżeli się kot lizał. Zaraz krzątano się tedy około przygotowań na przyjęcie gościa,—przemyśliwając nad tem, czemby go zabawić, a czem uraczyć można, zkądby i on miał przyjemność i gospodarz rozkosz, a dom chlubę i głośne u sąsiadów imię.

Skoro dostrzegli jadących, gospodarze z dziećmi, całą czeladzią i służbą wychodzili przed dom na powitanie przybyłych.

Gospodarz, szeroko rozwarłszy ramiona, na całe gardło wołał: — „*Moja służba powolna — służba; sąsiedzie miły — służba i drugi raz służba*“. Mniej wykwintni poprostu się witali, „*Zdarz Pan Bóg — nadarz Bóg*“. Dzieci i młodzież całowali starszych w ręce, a czeladź do kolan się pochylała.

Gdy się tak dowoli wycałowali, wyściskali, a osypali komplimentami, gospodarz starał się gościowi, w czem mógł, wygodzić; usadowiwszy go na poczesnem miejscu zaraz rozpoczynano traktament. Tu już następowało „*czem chata bogata, tem rada*“, i wszystkie zapasy domowe, jadła, napoje, całą apteczkę jejmości z przedniemi konfektami i kordyałami, na stół przed gościa się przynosiło. Chowaj Boże, ażeby dopatrzono, że czegoś gospodarz poskąpił, lub jednego przed drugim raczył hojniej: już przez to utraciłby reputacyą i wziętość—„skąpstwo na przyjęciu okazać za jakąś sromotę sobie poczytują“ — powiada zacytowany wyżej Kryski.

Gościnność była jakby epidemią i szerzyła się po kraju; każdy jej podlegał: była to słabość narodowa. Panowie bezwątpienia raczyli suciej i wspanialej, szlachta uboższa wedle *staniku*, ale nie z mniejszą serdecznością. Co do przyjęcia u szlachcica z taką prostotą opisuje je Rey w *Zywocie*: „Gdy szlachcic do szlachcica przyjechał w zimie, sadzono go przy ciepłym piecu albo u komina, na którym się rzęsisty palił ogień i na pierwszym wstępie raczono czaszą piwa z oliwą.“

Następnie obmyślano zabawę: albo mu grano na lutni, albo śpiewano poczciwe piosnki, lub jakie wierszyki, kończąc je zwrotką *la la la*: albo opowiadano pocieszne dykteryjki, często prawiąc jak o żelaznym wilku; albo dawne jakie przypominano sobie dzieje, albo urządzano gry i rozrywki, stosownie do płci i wieku w gościnę przybyłych osób. Proszono naprzód gościa, ażeby się do muzyki przysiadł, albo tańcował, albo się rozmową z pannami bawił.

U uboższych żaden obrzęd, u bogatszych żadna uczta, a u wszystkich żadna uciecha nie obeszła się bez huku i gędźby. Posłuchajmy, jak nam to rubaszny Rey w *Zywocie* wystawia. Huczną muzykę najwięcej lubiono, złożoną z wdzięcznych trębaczów, bębnów i pokrzyków, a lubiono ją dlatego, że z niej mógł sobie sprawić ochotę i chudy pachołek, zadąwszy w dudy z krzywym rogiem. Ukraińską kobzę nad inne przenoszono, jej odgłos ceniąc tyle, ile miły dźwięk cytry.

(Dokończenie nastąpi)

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Listopadzie 1885 r.

Jakie tu sprawiły wrażenie: śmierć króla hiszpańskiego i wypadki wojny bałkańskiej. — Swoje i cudze sprawy. — Nasz literacki przywóz i *kryzys*—*Germinal* p. Zoli w teatrze i jego zajście z cenzurą. — Kto tu winien? — P. Renan i jego nowy dramat: *Kapłan Nemosa*.—Zamiary autora i skutek dzieła.—P. Coppée i jego dramat *Jakobici* w Odeonie.

Niegdyś straszne znaki niebieskie zapowiadały ludziom zgon wielkich monarchów. Trwożyły się ludy wobec tych przepowiedni: jakaś nieopisana, niepojęta siła powoływała naturę i sumienie na świadectwo tego, iż jeden z tych potężnych świata niknął z żywota ziemskiego, jakby jedna z jasnych gwiazd niebieskiego stropu. Dziś telegraf czy telefon zastąpił miejsce komety lub trzęsienia ziemi i ludzie zaledwie mają czas się opatrzeć, że się coś wielkiego stało na świecie — a już inne zjawisko staje na progu. Tak smutna wieść o przedwczesnej śmierci króla hiszpańskiego, wybuchła nagle, jak grom z pogodnego nieba i znikła w niezmiernych obszarach wieczności; a tutaj, czy jest jeden człowiek, czy jest jedno serce, w którymby ten ważny, wielki i smutny wypadek znalazł żywsze echo? Trudnoby na to odpowiedzieć z pewnością. A tam? na własnej ziemi, we własnym kraju, czy lepiej, czy głębiej odczuli tę śmierć ludzie, naród, któremu otwiera to może szerokie wrota do zawikłań, do zaburzeń i do ciężkich klęsk może? Bo przyszłość jest chmurna i ciężarna gromami i jak sfinx stoi na progu wieczności.

Czyś Serb, czy Bulgar? Oto jest żartobliwa zaczepka, którą się dziś witają brukowcy paryzcy. I ten żart—jestto prawdziwy wymiar stopnia, do jakiego wypadki zza Pirenejów i z Półwyspu Bałkańskiego obudziły uwagę tutejszych ludzi. Ze smutkiem potrzeba przyznać, że wszystkie dziennikarskie monologi i traktaty żadnego nie wywierają wpływu na zobojętniałą i jakby drzemiącą publiczność: tak się wyszafowali na wyborach, że dziś ani na targu, ani w Izbie, nie mają dosyć animuszu, aby się na prawdę poczubić.

Kiedyś Wschód i kwestya wschodnia zajmowały tu uwagę publiczną, i najlepsze, najbardziej wykształcone umysły występowały chętnie do walki w tej sprawie Chrześcijan na Wschodzie. Posłowie francuzcy w Konstantynopolu byli-to jakby odwieczni i prawie opiekunowie tej sprawy; każdy z nich był jakby *Legatus natus* do kwestyi miejsc świętych. W Bulgaryi w Serbii, u wszystkich Słowian południowych, imię Francyi było na ustach i w sercu. Dziś można sobie powiedzieć, że może tak jest jeszcze u Słowian— ale nie we Francyi. Zdaje się, że to nie są ci ludzie, których znaliśmy dawniej, ciekawi, ruchliwi— a choć leccy czasem, zato wrażliwi na dobre. W tej chwili, jakby obrani z damnych przymiotów, staremi tylko wadami świecą. Zostawiam więc to smutne pole polityki, a przechodzę do literatury.

Jak się należało spodziewać, z otwarciem jesiennych, słotnych i chmurnych dni, z nowowybraną Izbą, znowu się zbiegło wszystko, cokolwiek trzyma się tutejszego bruku. Otwarły się też naoścież wszystkie drzwi, które prowadzą do tak zwanych ongi przybytków Muz i Apoli na. Restauracye i teatra wysadziły się na największe splendory, a wydawcy i księgarze, jak z worka, sypnęli nowościami i nowinami. Tak— jak z worka! a kiedy u nas słychać jedno tylko: *kryzys* i *kryzys*! tutaj coraz się w górę podnosi, pełną rzeką płynąca literacka powódź—tak że publiczność nie wie, od czego ma zacząć i na czem ma skończyć? I rzecz dziwna a godna uwagi, rubryka wywozu do naszych krajów, tych dziwnych wyrobów, pomimo powtarzanego ciągle okrzyku u nas *Kryzys!* zamiast się zmniejszyć, u wszystkich wydawców wzrasta i stanowi jeden z uprzywilejowanych punktów składu i przedaży. Cóż to znaczy? czy owa kryzys grasuje tylko co do produkcyi własnej naszej literatury; czy może wcale jej niéma? Rozwiązywać tego zagadnienia nie podejmuję się, bo mi materyałów potrzebnych do tej weryfikacyi braknie.

Ale, jeżeli książki i książeczki posypały się w Listopadzie—jak z drzew zeschłe liście, to powiedzmy prawdę, że *rari nantes* w tym mętnym potoku, i że mało się znajdzie w belletrystyce, coby zasługiwało na waszą uwagę i na zajęcie waszego kronikarza. Przecież nie wszystko jest stracone, i w tej ogromnej liczbie książek znajdziemy czemby zapełnić, nietylko kronikarskie ulotne kartki, ale trwalsze i ważniejsze literackiej krytyki.

Niewychodząc z teatru, mógłbym zaprosić moich czytelników na przedstawienie dramatu bardzo ciekawego. Ale, niestety, jak sam autor powiada, dramat jest tylko formą, w której znakomity pisarz starał się zamknąć to, co mu się zdawało, że w dyalogu lepiej i jaśniej może być wyrażone, niżeli w formie traktatu.

„Chciałem, w tem dziele wyłożyć myśl podobną do owej hebrajskiego Messyanizmu, to jest myśl wiary w ostateczny tryumf postępu religijnego i moralnego, pomimo powtarzających się ciągle zwycięztw głupoty i złego.“

Temi słowy p. Ernest Renan zaczyna swoję krótką przedmowę książki, która tylko co się ukazała na świat, pod tytułem: *Kapłan Nemosa*, dramat filozoficzny. Dramat jak już powiedziałem, jest to forma jedynie; bo chociaż jest tu fakt mający wistocie wszystkie cechy i wszystkie warunki wielkiego dramatu, autor jednakże zostawił go w cieniu, zapewne z umysłu, i traktuje go niejako epizodycznie i jakby mimochodem.

Strabon w rozdziale 3 m, księgi V-ej powiada że blizko Arycyi, o 160 stadyów od Rzymu, jest świątynia Dyany, przezwana Nemus, po grecku Νέμος, i która była, jakby filią owej sławnej świątyni Dyany Taurydzkiej, bo rzeczywiście—dodaje —dochował się w tej świątyni scytyjski i barbarzyński obyczaj, iż tego mianują tam kapłanem, kto własną ręką zamorduje kapłana poprzednika swojego. To też dodaje Strabon, zawsze on jest uzbrojony mieczem, gotów odeprzeć zdradliwe zamachy, zgotowane na jego życie.

Jak widzimy, jest tu zawiązek dramatu, i to w najlepszem znaczeniu tego słowa, jak go pojmowała Starożytność. Ale autor, który jest dalekim od wszelkiej tragiczności, nie szukał w tem starożytnem wspomnieniu silnych i posępnych wrażeń; z filozoficznem usposobieniem owych uczonych z wieku Odrodzenia, jak Grotius, Erazm i t. p—poganin prawie, przez to ciągłe pożycie ze starożytnymi pisarzami, choć w gruncie Chrześcijanin, wolał on widzieć w tym starym kapłanie, współczesnym założeniu Rzymu, w owym, jak go nazywano *Rex nemorensis*, pewien rodzaj reformatora, filozofa idealisty, który, filozofując przez ciąg pięciu aktów, pada ofiarą najlepszy chchęci—niechybne następstwo, powiada autor, usiłowania, aby przymieszać trochę zdrowego rozsądku do zagmatwanych spraw ludzkich.

Jakieśmy mówili, autor chciał przed nami, rozwinąć konieczność i warunki postępu religijnego i moralnego; według tego jednakże, co się daje zrozumieć z tego dramatu, szukał on raczej sposobności, aby w misternej, ukrytej, i jakby na powietrznej formie, jak to ma we zwyczaju, wyrazić myśl swoją, wobec tego, co się dziś dzieje w polityce i moralności, we Francyi i na całym świecie.

Jakkolwiek wielki jest talent pisarza, nie należy przypuszczać ani na chwilę, że możemy znaleźć tu dramat, w tem znaczeniu, jakie zwykle przywiązujemy do dzieł tego rodzaju. Dramatu niéma wcale, nawet w takim rodzaju, naprzykład jak: „Irydyon“, albo „Nieboska Komedya“. Są to rozmowy ludzi, którzy filozofują poswojemu, rozprawiając o rzeczach bieżących. Nie jest to porywające, mniej jeszcze zabawne, i nie robi tego wrażenia, jakiego można się było spodziewać po tak dobrze wybranym temacie.

W chwili właśnie założenia Rzymu mieszczanie Alby-Longi, przechadzając się wieczorem pod cieniem drzew, spoglądają z niechęcią na to dalekie wzgórze wznoszące się na równinach ku morzu, i źle wróżą sobie o tem osiedlaniu się pod bokiem opryszków ściągających się tam ze wszystkich stron świata. Przepowiednie Sybilli z sąsiedniej świątyni Nemosa nie przypadają im do myśli, a humanitarne reformy kapłana tej świątyni zdają się im niebezpiecznemi i godnemi nagany. Każdy tu z kolei występuje ze swojem zdaniem: arystokraci, mieszczanie i lud pospolity. Na tem schodzi cały akt pierwszy, a jakkolwiek zdania są sprzeczne, wszyscy się godzą, że *Antistius*, kapłan Nemosa, jest człek niebezpieczny, w chwili, gdy ojczyzna, Alba, jest zagrożona i może zginąć w skutek zamętu. W drugim akcie jesteśmy w sławnej świątyni Dyany, i zapoznajemy się z Antistiusem, z Carmentą, Sybillą, z usługą i z ludem świątyni. Reformator, dążąc do zburzenia krwawej i ludzkiej ofiary, i każąc nam przez cały ten akt o jedności Boga jest anachronizmem i niepodobieństwem, w owych czasach, i w takiej, jakowa, świątyni. Ale już wiemy,

że to marzyciel dzisiejszy! Odpycha on i z kwitkiem odprawia wszystkich, którzy mu przynoszą ofiary. „Bogowie, mówi, są zniewagą Boga (jednego)—a Bóg zkolei jest zniewagą *bóstwa* (le divin).“ Tak subtelne i dziwne rozumowanie prowadzi, jak zwykle, do szukania tego, czego nawet nie znajdujemy w mowie ludzkiej, i zmusza do zastąpienia przedmiotu przymiotem. Cały ten akt schodzi na podobnych rozumowaniach kapłana, na odprawie wiernych z próżnemi rękami, oprócz sielankowej pary, która, pobrawszy się *more antiquo*, przynosi gołębie i kwiaty w ofierze. Akt ten kończy się pewnym rodzajem anakreontyku pomiędzy kapłanem i jego młodą Sybillą, gdzie jak we wszystkich dziełach autora, widać, że niewiasta jest mu miłą i że serce ma łatwe do litości i wzruszenia. Kapłan jednak skłania ją do spełnienia powinności, jakkolwiek twardej, i całuje ją w czoło!—„Siostro, powiada, w powinności i w męczeństwie, kocham cię!“

Wszakże ta deklaracya, trochę za ognista może, jak na kapłana, pozostaje bez żadnego następstwa, i ta idylla nie powtórzy się już więcej do końca dramatu. Zastąpią jej miejsce polityczne zatargi i przygotowania do wojny, do której każde stronnictwo z osobistych widoków gotowe jest lud popchnąć.

Cały akt trzeci zapełniony jest dyalogiem pomiędzy głównymi przewódzcami stronnictw, to jest, zupełnie jak tutaj, arystokracyi, opportunistów i anarchistów. Jeżeli to nie porywa czytelnika, świadczy przynajmniej, że autor umie każdemu powiedzieć *verba veritatis*. A w końcu, w osobie i sprawkach niejakiego Ganeo, akolity kapłana, pokazuje nam autor: w co się obracają obrzędy religijne w rękach ludzi przewrotnego serca, kiedy ręce arcykapłańskie usuną się lub osłabną w zarządzie i w prowadzeniu świątyni.

Ten koniec trzeciego aktu, jeden z najświetniejszych ustępów dramatu, dostał się kilka tygodni temu w ręce jednego z reporterów tutejszych i był powodem niegodnych oskarżeń autora o najwstrętniejsze reakcyjne tendencye. W przedmowie p. Renan żali się na to postępowanie, nieuczciwe i niedyskretne, i tłómaczy się niepotrzebnie z głupich zarzutów. Jakkolwiekbądź, widać tu, że autor sam błądził nieraz w przedsionkach świątyni i że wspomnienia owych czasów i wrażeń poruszają go głęboko, ilekroć dotknąć się ich musi. A prawie zawsze, pomimo woli i chęci, powraca do nich. Posłuchajmy jak kończy autor tę podsłuchaną rozmowę nędznego klechy:

Liberalis.

„Oto, czego nauczają w świątyniach bogów, kiedy kapłani je opuszczają.

Antistius.

„Tak, prawda jest dobrą jedynie dla tego, kto ją odkrył. To, co karmi jednego, jest dla drugiego trucizną. O, światłości, któraś mię sprowadziła abym cię ukochał, bądź przeklętą! Zdradziłaś mię. Chciałem ulepszyć człowieka—i zepsułem go tylko. Radości życia, źródło szlachetności i miłości, ty stajesz się dla tych nędzników źródłem nikczemności; pokutą moją będzie, gdy mnie oni zamordują. I wy powiadacie, że dla ułudy umieramy jedynie! Zobaczymy...“

Czyż nie powiedziałem prawdy? Czyż w tem gwałtownem odwołaniu się sumienia kapłańskiego nie słychać tych tajemnych głosów z innych, dalekich, ubiegłych krain i czasów? Czyż ta bolesna skarga nie zdaje się wam jak mnie, skargą dawniejszego neofity?

Autor w akcie czwartym prowadzi nas na forum Alby, gdzie lud zebrany stanowi o wojnie z Rzymem. Głos powszechny oskarża kapłana Nemosa o obojętność w tej sprawie o niechętne pełnienie swoich obowiązków sakryfikatora. Lud przyprowadza ofiary uwieńczone według przepisów i żąda ich poświęcenia i wyroczni. Uwagi kapłana przyjęte są szyderstwem i zniewagą przez anarchistów, równie jak przez oportunistów a stronnictwo arystokratyczne, z obojętnością patrząc na to wzburzenie, gotuje się, aby wyciągnąć ztąd osobistą korzyść.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Rozporządzenie, aby w kraju naszym kobiety i nieletni do lat siedmnastu nie byli używani w fabrykach do pracy nocnej, od 10 wieczorem do 4-tej rano, weszło w wykonanie od połowy zeszłego miesiąca.

— Dnia 15 Listopada odbył się w Kaliszu pogrzeb kobiety, na której trumnie leżały wieńce z napisem: „Opiekunce ubogich,“ „Obywatelce,“ a uczniowie gimnazyum idący przed trumną, tak jak dzieci z ochronki, jak starcy z Domu Przytułku, nieśli wieniec z napisem „Swojej dobrodziejce.“ Ta ś. p. filantropka, Alexandra Nijewska, poczyniła przez ostatnią swoję wolę liczne zapisy na cele dobroczynności publicznej: 6,000 rs. dla Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie; 2.000 rs. dla kaliskiego Towarzystwa Dobroczynności; 1,000 dla ochrony w Kaliszu; kamienicę położoną przy ulicy Wrocławskie Przedmieście dla szpitala Ś-tej Trójcy tamże. Dalej z procentu od sum przeznaczonych również na cele dobroczynne: 250 rocznie na wpisy dla uczniów gimnazyum kaliskiego; 200 rs. jako stypendyum dla studenta uniwersytetu warszawskiego Procent od 3,000 rs. na utrzymanie Siostry Miłosierdzia przy Domu Schronienia Ś-go Ducha w Kaliszu. Procent od 2.000 rs. na polepszenie żywności starców i kalek zostających w kaliskim Domu Schronienia Starców. Procent od 4.000 rs. na bezprocentowe pożyczki dla kaliskich rzemieślników Polaków; oraz po zdwojeniu się tego kapitału przez zwrot tych pożyczek, uczynionych przez testatorkę, które zwrócone zostaną w pierwszych dwudziestu latach procent od 4,000 obracanym ma być na bezpowrotne wsparcie kaliskich rzemieślników Polaków; procent zaś od resztującej summy 4,000 rs. i tej, która przyrośnie przez zwrot pożyczek, na bezprocentowe pożyczki dla kaliskich rzemieślników Polaków, mające się zwracać co miesiąc. Procenta od zwracanych pożyczek mają być wciąż obracane w sposób, jak wyżej. Wykonawcą testamentu zmarłej jest mianowany przez nią miejscowy regent kaliski p. Alfons Paszkowski. Wszystko duchowieństwo znajdujące się w Kaliszu towarzyszyło konduktowi pogrzebowemu.

— Fałszywą jest pogłoska, jakoby mieszkanki miasta Turku utworzyły kółko, mające na celu rozszerzanie zamiłowania do literatury, szczególniej krajowej. Trzeba wyznać z żalem, że kółko to nie istnieje, ale czyżby istnieć nie mogło, skoro wieść ta, choć nie prawdziwa, ale prawdopodobna, zyskała mieszkankom Turku tyle pochwał, tyle rad przychylnych, wyrażonych przez wszystkie prawie piśmiennicze organa nasze? Sława obowiązuje, gdy jest, jak w tym przypadku, dobrą sławą. Szkoda się pozbyć już pozyskanej.

— *Tydzień* piotrkowski, podaje projekt zakładania *Kółek oszczędności*, do których wezwała *Kronika Rodzinna*, na zasadach następnych:—Panie należące do *Kółka oszczędności* nie powinny sprawiać jasnych jedwabnych sukien, koronek i klejnotów, co najwięcej, donaszać już posiadane. Nie wolno im także ukazywać się w coraz-to zmienianych toaletach, bo prawo oszczędności nakazuje nosić suknie posiadane, aż do zużycia Z materyałów najpożądańsze są wełny ciemne, i tylko wyroby bawełniane, jak perkale i tem podobne tkaniny do prania, mogą być jasne; na zebraniach tańcujących, najwyżej już muślin i tarletan. Jedwab czarny, jako trwalszy, jest jedynie pozwolony paniom, należącym do towarzystwa. Okrycia aksamitne wyklucza się zupełnie; kapeluszy nie wolno używać więcej, nad dwa rocznie, a także sukni nowych dwie tylko sprawiać wolno.

Zabrania się gospodyniom należącym do kółka przyjęć kosztownych. Na zebraniach zwyczajnych wolno podawać do herbaty tylko przekąski mięsne; na liczniejszych zebraniach, naprzykład, tańcujących, może być kolacya gorąca, ale tylko jedno mięso z kompotem i jakaś niekosztowna legumina. Na zebraniach większych wino lekkie, w ilości umiarkowanej; wina stare i kosztowne wcale niedozwolone. Piwo, naturalnie, może być podawane, jak i inne napoje chłodzące.

Do teatru osoby należące do *kółka oszczędności* mogą uczęszczać co najwyżej na miejsca 5-cio złotowe (w Piotrkowie). Tylko na widowiska z celem dobroczynnym prawa *kółek oszczędności* znikają.

Praca musi koniecznie wchodzić w skład oszczędnie prowadzonego życia: otóż panie *oszczędne* obowiązane są być pracowitemi. Mężatki, zwłaszcza matki licznej rodziny, mające małe dzieci, już mają dość pracy, gdy są dobremi domów swoich gospodyniami, gdy zajmują się wychowaniem dzieci. Ale panny, mężatki bezdzietne, matki dorosłych już dzieci, jeżeli nie oddają się jakiejś pracy obowiązkowej na zarobek i nie potrzebują jej, obowiązane są co najmniej jedno dziecko ubogie uczyć, albo szyć na korzyść rodzin ubogich.

Może należałoby tu dodać pewne prawa określające, co z przedmiotów odzieży rodzinnej powinno być obowiązkowo w domu wyrabiane? Pewna pani należąca do wyższych sfer towarzyskich, generałowa z dawnych czasów, mająca trzy córki panny, nie pozwalała im bawić się w robótki zbytkowe, przeznaczając na nie jeden tylko dzień w tygodniu; to też wszystkie suknie nawet już wytworniejsze, wyrabiały się w domu, w domu szyła się wszelka bielizna, i sług przy dość licznej rodzinie nie było wiele, bo panny dopomagały czynnie do utrzymania porządku domowego i kolejno odbywały dyżur, czuwając nad przyrządzeniem pożywienia rodziny, że zaś znały się wybornie na kuchni, nie trzeba było trzymać drogo płatnych kucharzy lub kucharek, co jednak nie przeszkadzało temu, że panny owe były intelligentnemi, wyżej wykształconemi kobietami. Osoba to pisząca znała zbliska ową staropolską matronę, która również nie zajmowała nigdy w teatrze loży pierwszego piętra, tłómacząc to córkom tym względem, że majątek rodziny nie należy do pierwszorzędnych w kraju. Generałowa S. uważała córkom swoim za zbytek nawet wytworne hafty i dlatego ograniczyła podobne zajęcia do jednego z sześciu dni tygodnia.

Tydzień uzupełnia projekt swojej ustawy oznaczeniem rozmaitych kar za złamanie przepisów, przyjętych przez *kółka oszczędności* i tak: Za sprawienie jasnej sukni jedwabnej rs. 5; za sprawienie sukien więcej nad przepis 1 rs.; za więcej niż 2 kapelusze rocznie pół rubla; za okrycie aksamitne rs. 5. Za kolacyą gorącą na zwyczajnem zebraniu 1 rs.; za podanie wina 3 rs.; za wina kosztowne, cukry i t. d., rs. 5.

Za droższe nad oznaczone w teatrze miejsce, płaci się za pierwszem przekroczeniem kary zł. 1 gr. 25, za drugim razem 3 zł. gr. 10, za trzecim zł. 5 i tak dalej.

Każda panna lub mężatka płaci za życie próżniacze 1 rs. miesięcznie; kontrola wzajemna należy do uczestniczek stowarzyszenia; ściąganie kar i przelewanie ich do kassy Towarzystwa Dobroczynności, popełnia przewodnicząca *Kółka*.

Tydzień przedstawiając poczciwie projekt tych *Lex sumpituaria*, zwraca się do mieszkanek Piotrkowa, wzywając je, aby ze względów ogólnego pożytku zajęły się zorganizowaniem *Kółek oszczędności*.

— W Piotrkowie obok 100 mężczyzn członków miejscowego Towarzystwa Dobroczynności spotykamy tylko 5 kobiet. Czy to w rzeczach Dobroczynności stosunek prawidłowy?

— W Stasinku pod Warszawą, dawnej posiadłości Andriollego, ma być na wiosnę założona dla kobiet szkoła serikultury, to jest hodowli jedwabników. Już istnieje tam plantacya morw, licząca 3.000 drzewek. Specyalista sprowadzony z Francyi, ma początkowo hodowlę tę prowadzić, kształcąc zarazem uczennice wzmiankowanej szkoły. Byłaby ona dobrodziejstwem w stosunku tak do przemysłu krajowego, jak i pracy kobiecej. Jedwabnictwo może i powinno rozwinąć się u nas, bo względy klimatyczne nie stoją tu bynajmniej na przeszkodzie. Morwa udaje się u nas wybor-

nie, i nie od dzisiaj rośnie w ogrodach naszych, gdzie znajduje się niemało morw, mających po kilkadziesiąt lat wieku. Jedyną różnicą, jaka zachodzi tu między naszym krajem, a Francyą naprzykład, jest to, że u nas morwa okrywa się liściem o dwa, trzy tygodnie później niż tam. Że przecież cały przebieg kampanii jedwabniczej trwa 6 tygodni, nie wpływa to wcale na jedwabnictwo nasze w sposób ujemny. Morwa udaje się dobrze wszędzie; tylko ciężki i zimny, sapowaty grunt jej nie sprzyja.

— Wykonanie posągu Małgorzaty Chrzanowskiej, który jak wiemy, ma stanąć w Trembowli, zostało powierzone rzeźbiarzowi ze Lwowa, Tadeuszowi Barączowi. Na wspaniałym piedestale ma się wznosić obelisk, na którego wierzchu umieszczony będzie orzeł. Piedestał i obelisk ozdobione zostaną płaskorzeźbami, które będą ujęte w ramy bronzowe, tak, jak i tablice z opisem heroicznego czynu szlachetnej bohaterki.

— Królowa Natalia serbska przedstawia się wśród wstrząśnień swego kraju jako pierwsza jego obywatelka. Zaraz po wybuchu wojny stanęła na czele stowarzyszenia kobiet serbskich, którego celem jest niesienie pomocy rannym, oraz opiekowaniem się tak wdowami i sierotami po poległych, jak wogóle rodzinami żołnierzy walczących. Królowa Natalia sprowadziła z Pesztu 30 maszyn do szycia, i w gronie pań swego dworu oraz innych, chętnych do tego kobiet, szyje własnoręcznie bieliznę dla żołnierzy, przyrządza bandaże i szarpie dla lazaretów wojskowych. Królowa Natalia cofnęła też natychmiast po wybuchu wojny zamówienia toaletowe poczynione w Paryżu na nadchodzącą porę zimową; a gdy magazyny ubiorów, do których w tym celu wysłała listy, odpisały z uwagą, że może ma to być tylko wstrzymanie, a nie odwołanie zupełne?—królowa odpowiedziała przez depeszę telegraficzną, że nie... ponieważ w chwili obecnej „nie mogłaby myśleć o strojach". Nie może nigdy myśleć o strojach w ważnych dla narodu swego chwilach żadna kobieta, czująca się człowiekiem, a nie lalką.

— W zeszłym miesiącu odbył się w Berlinie wiec subjektów i pomocników handlowych, obradujących nad konkurrencyą, jaką kobieta zaczyna w tym fachu czynić mężczyźnie, zkąd wzrasta ciągle liczba mężczyzn pozbawionych pracy, bo kobieta, pracując na warunkach ceny zniżonej, wypycha mężczyznę z miejsca, na które dotąd liczył z pewnością, i do których też uzdolniał się odmłodu. Jeden z mówców wiecowych, redaktor jakiegoś pisma berlińskiego, Holzerland, przemawiał, między innemi, dowodząc na zasadzie liczb statystycznych, że liczba zawieranych małżeństw zmniejsza się ciągle w klassach pracujących od czasu, gdy praca kobieca, nietylko czyni pracy męzkiej konkurrencyą, ale zniża wogóle ceny tej pracy. Ponieważ zebranie miało miejsce wskutek powierzenia przez jednę z fabryk berlińskich posady komiwoyażera kobiecie, uchwalono protest przeciw dopuszczaniu kobiety do tej gałęzi zarobku.

— Głosy protestu przeciw kształceniu się kobiet w stenografii, podnoszą się również w Berlinie, gdzie niemniej dobroczynne dla kobiety stowarzyszenie „Lette-Verein" otworzyło właśnie z dniem 15 Września kurs stenografii dla kobiet przy kobiecej szkole handlowej, tegoż stowarzyszenia (Königrätzerstrasse N 90). Nauka odbywa się dwa razy tygodniowo, od 6-tej do 7-ej godziny po południu, dla ułatwienia tejże nauki osobom w ciągu dnia zajętym. Sześć marek opłaca naukę, oraz książki do niej potrzebne, których szkoła dostarcza uczennicom. Moralista zawoła głosem zgrozy, że stenograf pozbawiony pracy, to jeden mniej ojciec rodziny przy ognisku domowem, którego niéma o czem założyć. Ale z drugiej strony odzywa się kobieta:—Ja jestem głodna, ja jestem pozbawiona dachu nad głową, a chcę jednak żyć i żyć uczciwie!... Ciężka to jest epoka, w której żyjemy...

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Listopadzie 1885 r.

Wiedeń w Peszcie, a Peszt w Wiedniu. — Znamiona wystawy węgierskiej. — Jokaja „Koloman". — Doczi'ego „Ostatnia Miłość."—Straussa „Cygański baron."

Nastała przez jakiś czas przerwa w kronikach wiedeńskich. Spajając przerwane ogniwa, muszę jednak uprzedzić, że wypada mi pisać o najrozmaitszych rzeczach i ludziach, o Francuzach, Szwedach, Czechach, a już najwięcej o Węgrach, najmniej zaś o samym Wiedniu, chociaż z Wiednia. W tym przypadkowym zbiegu okoliczności przejawia się przecież stały rys charakterystyczny. Wiedeń, jako stolica państwa, bez państwowej narodowości zaczyna pod wielu względami tracić swoje właściwe znamiona, a przyswaja sobie wszystkie z całego świata. Zresztą sama rozmaitość żywiołów składających państwo staje się powodem, że starowiedeńskie życie, zwyczaje i upodobania ustępują przed napływem odmiennych objawów, z wszystkich krajów do państwa należących.

Całe lato pozostawał Wiedeń pod panowaniem Węgrów i pielgrzymował do Pesztu, a z jesienią to panowanie węgierskie przeniosło się nawet do samego Wiednia. Nie miejsce tu wdawać się w szczegóły wystawy węgierskiej, ale nie można pominąć jej znaczenia i charakteru. Jeżeli przyjmiemy, że państwo węgierskie jest bujnem drzewem, to Peszt jest jego najpiękniejszą gałęzią, a wystawa była na niej najświetniejszym światem. Połączenie to organiczne było tak ścisłe, że, idąc przez miasto naddunajskie, dochodziło się do lasku miejskiego na wystawę, nie jakby do osobnego, sztucznie ułożonego świata, ale jakby to był stały, naturalny dalszy ciąg tego życia i tych jego kształtów, któremi samo miasto się odznacza.

W oprawie świetnych ram gór należących do obrębu miasta i wielkiej wody, miasto przerzynającej, przedstawia wystawa istotnie całe Węgry. Wszystko tam oryginalne, odrębne, niby europejskie, a nie pozbawione cech pierwotności, niby zachodnie, a przecież właściwie wschodnie i południowe; rafinada cywilizacyi, a przecież na pół dzika, jak czardasz. Wino i pszenica, drzewa olbrzymy i ryby olbrzymy, bogactwa kopalne i bujność fantazyi w kształtach artystycznych, w pawilonie sztuki; nadzwyczajne postępy w wszelkich gałęziach produkcyi przemysłowej i niewyczerpane pełne rozmaitości zasoby pracy i twórczości mieszkańców, a raczej kilku szczepów: madziarskiego, rumuńskiego, niemieckiego, serbskiego, słowackiego,—wszystko to nagromadzone w wielkim parku, w orginalnych budowlach wszystko ożywione mnóztwem typowych postaci zadowolonych z siebie i ze świata i wtórujących giestami i ruchami czardaszom wygrywanym przez kapele cygańskie: był to świat prawdziwy, zajmujący; była to niejako cała ojczyzna węgierska, którą się Węgrzy dosyć nacieszyć nie mogli, a umieli też w całej Europie obudzić dla niej zajęcie. Chcieli pokazać sobie i światu, że to państwo tysiącletnie zaczęło nową epokę rozwoju. To im się powiodło wyśmienicie, świadomość swojej wartości u nich samych wzrosła, a cudzoziemcy pod wielu względami się zdumiewali. Z tego stanowiska miała ta wystawa racyą bytu i nie należy jej oceniać wyłącznie ze stanowiska ekonomicznego, materyalnego, gdyż w tej mierze ma się rzecz tak, jak z każdą wystawą, że nie staje skórka za wyprawę.

Gdyby szło o praktyczne korzyści, to nierównie mniejszym kosztem możnaby nierównie większe osiągnąć, ale to nie nasza rzecz i nie mamy potrzeby rozbijać sobie węgierskiej głowy. Goście i widzowie mieli się czem zająć, zabawić, mogli się nawet zachwycać i ogrzać. Nie żałowali też podróży do Pestu i bliżsi i dalsi, a Węgrzy mieli dla wszystkich otwarte serca, kieszenie i co najlepszem było: czardasz i czardasz bez końca. Z gromadnych odwiedzin najznakomitszy był tabor francuzki, a z największym zapałem był ugoszczony tabor polski.

Węgrzy, pragnąc uczcić francuzkich gości, przyjmowali ich od granicy z zapałem i entuzyazmem, gdyż chcieli złożyć hołd przedstawicielom kraju i zasłudze pojedynczych członków francuzkiego światu. Najwybitniejszym pomiędzy Francuzami był sędziwy Lesseps, rzeźki i żwawy mimo zbliżającej się 80-tki. Przypominano zasługi Lessepsa i prace jego dla dobra ludzkości, podziwiano swobodę, z jaką prowadził rozmowy dotyczące polityki lub przemysłu.

Witano Coppée'go, przez uznanie należne jego dziełom i kierunkowi nowemu, dążącemu do powrotu w sfery idealizmu, pracującemu nad podniesieniem ducha w narodzie, budzącem w nim cele wielkie, jasne i wzniosłe. Dla Węgrów Coppée był znanym, jak dla świata całego; odwdzięczy się też za gościnność Pesztu, tłómacząc niektóre z poezyi Petöfiego wierszem dźwięcznym, pełnym, zapoznając Francyą w „Revue de deux Mondes" z dziełami wielbionego w Węgrzech poety.

Juliusz Massenet i Leon Deslibes zdobywali już dawniej w Węgrzech oklaski „Króla Lahory" i Herodyadę" Masseneta wykonywano w Operze, a Leo Delibes dyrygował nawet orkiestrą podczas przedstawienia opery „Jean de Nivelle." Równie miłym gościem był Ludwik Ulbach dla Węgrów podniósł on w gorącem przemówieniu zasługi Jokaja i znaczenie literatury węgierskiej. Przyjmowano Francuzów okazale, urządzano bankiety, illuminacye; zjeżdżały się deputacye z różnych miast węgierskich dla uczczenia gości i zapewnie gospodarze, jak i goście zachowali miłe wspomnienie z wystawy peszteńskiej. Odwiedziny Czechów były również serdeczne ale żadne nie pozostawiły wrażenia równie potężnego, jak odwiedziny Polaków. Gości zza Karpat przyjmowało nietylko miasto, nietylko deputacya członków wystawy, ale kraj cały, i w jednej z owacyi brało udział przeszło 40,000 ludzi. Pozostawili też Polacy w Węgrzech opinią najlepszą, bez żadnej przymieszki rozpamiętywania kosztów, wydatków, czego o innych odwiedzinach powiedzieć nie można.

Wiedeń przyglądał się przez lato sukcessom Pesztu, zpoczątku obojętnie, potem z zazdrością, gdyż wyjątkowo tego roku nie było w Wiedniu żadnej wystawy przyciągającej ludność całej monarchii do stolicy. Jakby trafiając w gusta publiczności, rozkołysanej czardaszem w Peszcie i szukając echa dźwięcznych jego tonów w literaturze, zapanowali na scenie teatrów z początkiem sezonu węgierscy dramaturgowie,

We Wrześniu otworzyły się podwoje Burgteatru dla Jokaja, ulubionego zarówno w Wiedniu, jak w Peszcie, a czytanego daleko więcej w Niemczech niż w Węgrzech, jak to można sądzić z kilkukrotnych wydań przekładów niemieckich jego powieści, podczas kiedy oryginały węgierskie często zalegają półki księgarskie. Porównywano płodność Jokaja z twórczością Kraszewskiego; wprawdzie liczba tomów nie dosięga liczby prac Kraszewskiego, zawsze jednak zważywszy wiek Jokaja, który dochodzi 61, liczba 270 tomów, nie licząc prac dziennikarskich wynoszących przeszło 50 tomów, jest zdumiewającą. W jednej ze swoich prac powiedział Jokaj: „Pióro jest mi matką i kochanką," pracuje też wytrwale pisząc dziennie 2 do 3 arkuszy druku. Pośpiech ten wpływa może ujemnie na powieściopisarza i przejawia się często mglistemi reminiscencyami jego własnych, poprzednich dzieł, ale tłómaczy się brakiem majątku i potrzebą pisania dla chleba. Popularność Jokaja wzbudzała zainteressowanie się publiczności dla jego tragedyi p. t.: „Król Koloman" i łączyła się z popularnością postaci przedstawianej w dramacie. Król Koloman jest to postać historyczna, owiana poezyą legend, rycerz średniowieczny, równie dzielny jak dobry, dziecinnej niemal dobroci. Cały dramat niejako wystawia próbę tej dobroci króla, który buntownikowi Almosowi w każdym akcie za nowe zbrodnie raz lub dwa razy życie darowuje; zgodnie jednak z duchem wieku kończy się wyłupieniem mu oczu.

Na powieść, na poemat, osnowa wyborna; na scenie następują wypadki jedne po drugich zamiast, żeby się jedne z drugich rozwijały. Dobrzy artyści mają jednak pole do odtworzenia postaci wybitnych. Powtarzano przedstawienie parę razy, ale prócz *succès d'estime*, zarówno dla nazwiska autora, jak i dla gry zasłużonych artystów, dramat przeszedł bez wrażenia i zawiódł długie oczekiwanie; bowiem od wielu lat spoczywał w bibliotece teatralnej. Świetną *mise en scène* zawdzięcza zmarłemu dyrektorowi Burgteatru, Dingelstedtowi.

Po Jokaju wystąpił poeta Doczi (Radca Dworu w Minist. Spraw Zagranicznych) przed publicznością wiedeńską w Burgu. Pamiętając powodzenie „Pocałunku," cisnęła się na pierwsze przedstawienie komedyi węgierskiego autora chciwa wrażeń publiczność pragnąca: „Ostatniej miłości" przyklasnąć.

Komedya ta daje obraz średniowiecznego *cour d'amour*, a odbywa się na wykwintnym dworze Ludwika króla węgierskiego i polskiego. Nawet królewna Marya i nasza Jadwiga pojawiają się— lubo autor wprost osób historycznych nie wymienia, lecz przeciwnie rzecz odgrywa się jakby nigdzie. Przyglądamy się turniejom serdeczuych spraw, wprowadzeni zostamy w świat romantyczny, z całą barwnością jego strojów i dekoracyi, słuchamy dyalogów pełnych subtelności, przypominającej dyalogi komedyi Shakespeare'a; widzimy, jak trzy pary kochanków przechodzą przez najrozmaitsze własnowolne i mimowolne awantury, cierpienia i figle miłosne.

Wszystko to czyni ten utwór scenicznym, zajmującym, pomimo, że nazbyt dużo w nim awantur, a za mało jednolitości. Ma on tę wielką zaletę, że jest ludzki, nie specyficznie węgierski, a bez tendencyi.

Węgrzy, nietylko poezyą przypominają się tego roku Wiedeńczykom na scenie. W teatrze „An der Wien" drugi miesiąc panuje czardasz pospołu z walcem w ślicznej operetce Straussa, do której libretto opracowane na tle jednej z powieści Jokaja, *Tout Vienne* ciśnie się tłumnie co wieczór wabione nowością, a powodzenie operetki jest takie, że mimo 40-tu przedstawień, biletów dostać nie można wieczorem. „Cygański baron" długi czas jeszcze będzie ściągał tłumy, ale to już najwięcej zasługa J. Straussa, którego żywe melodye entuzyazmują publiczność. Można powiedzieć, że jest to małżeństwo walca z czardaszem, a przedstawia się jako opera pełna oryginalności. Dawno już upatrywano nowych motywów i nowej sceneryi dla muzyki wesołej. Powieść Jokaja stała się dla Straussa rogiem obfitości; ale też z drugiej strony nigdy Węgrzy nie słyszeli takiego udoskonalenia swoich melodyi ludowych, swojego czardasza. Na scenie przesuwają się tłumy cyganów, ludu, wojska, wyborne typy junaków i specyficznie węgierskich postaci charakterystycznych i komicznych. To znów przenosi się akcya do Wiednia; widzimy zetknięcie się kilku światów, a ów na pół dziki cygański świat daje pole kompozytorowi do rozwinięcia pomysłów równie głębokich jak prostych.

Możnaby powiedzieć po tej operze, że niewyczerpany Strauss dobył się do nowych pokładów swojego talentu twórczego i że do coraz wyższej muzyki sięgać będzie. Węgrzy reklamują go już w duchu dla siebie...

Spostrzegam się, że mi Węgrzy tyle miejsca zabrali, iż go już tym razem dla Wiednia zbrakło; ponieważ jednak przerwy w kronikach trzeba wynagrodzić, więc niebawem zgłoszę się znowu z wiedeńską pogawędką.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych odkryć naukowych i wynalazków.

Studya Castonnet'a des Fosses na Madagaskarze.—Piorunociągi nowego systematu.—Torpille aerostatyczne.—Krytyczne ich ocenienie. — Ważna reforma w hygrometryi. — Missye francuzkie zamorskie naukowe i pozyskane z nich rezultaty.

(Dokończenie)

Z tego, co wyżej określiliśmy, wynika, że wartość *wilgotności względnej* będące dotąd w użyciu, nie wymierzają ilości pary wodnej. Przeciwnie, zasób hygrometryczny wymierza ją dokładnie uwidoczniając zmiany zachodzące w dzień, w nocy, w lecie, w zimie, w różnych szerokościach geograficznych i wyniesieniach.

Wszyscy bezwątpienia fizycy ocenią ważność uwag krytycznych zawartych w pracy Jamina i nie wątpimy, że zgodnie z jego propozycyą nie będą w przyszłości notować ilość pary wodnej zawartej w powietrzu w sposób dotychczasowy. Niéma żadnej racyi niepodawania objętości lub wagi pary wodnej zawartej w przestrzeni danej, gdy podaje się objętość i waga gazu kwasu węglanego, azotu i tlenu.

Projekt Jamina stanowi wielką reformę w hygrometryi. Dzięki jemu można będzie wyprowadzić jakieś prawo z olbrzymiego zbiorowiska obserwacyi, nagromadzonych od pięćdziesięciu lat w rocznikach meteorologicznych i w regestrach obserwatoryów, z których dotąd nic ścisłego wysnuć nie było można. Gdy pozyskamy ilości bezwzględne pary wodnej, zawartej w powietrzu, nie zaś stosunek, że tak powiemy, oderwany zaznaczany w pracach meteorologicznych, będzie można zestawiać ze sobą te dane i wyprowadzać z nich wnioski. Być może nawet, że, prostując w sposób podany przez Jamina dawne obserwacye, możnaby wykryć pewien stosunek między wszystkiemi temi danemi od tak dawna notowanemi, z których dotąd nie otrzymano żadnego rezultatu.

Francuzki minister wychowania publicznego otrzymał rapport p. Maunoir, członka kongresu towarzystwa uczonych w Sorbonnie, dotyczący missyi geograficznych, jakie Francya wysłała dla zbadania odległych krain. Rapport ten obrazuje działalność towarzystwa i podaje osiągnięte rezultaty pod względem naukowym i historycznym. Niektóre ciekawsze szczegóły z tego raportu podajemy.

Karol Huber wyruszył w podróż do Arabii w 1883 roku; w następnym roku doniósł, że dotarł do Hail w dobrych warunkach. W ciągu dwukrotnych exkursyi badacz ten zebrał przeszło sto napisów tamodeńskich, to jest pochodzących z najodleglejszej epoki znanej w historyi Arabii. Na nieszczęście podróżnik ten został zdradziecko zamordowany w pustyni przez ludzi go eskortujących.

Na wielki archipelag azyatycki wysłanym został niestrudzony przyrodnik i gorliwy missyonarz Alf. Marche. Z każdej ze swych podróży, a zwłaszcza z odbytych do międzymorza Malakka i wyspy Luçon, zebrał on piękną kollekcyą okazów historyi naturalnej, przedmioty etnograficzne tudzież mające wartość handlową. W 1883 roku znajdujemy go na prawie nieznanej wyspie *Palauan*. Stwierdził on, że góry wyspy sąsiednie miastu Puerto-Princessa są zadrzewione temiższamemi gatunkami drzew, co i lasy wyspy Borneo. Fauna ornitologiczna Palauanu przedstawia w połowie ptaki Wysp Malajskich i Luçon: Marche wykrył pomiędzy rzekami Tapul, Bahele i Estrella punkt łączący, od północy do południowej strony wyspy, zatokę Tapul z zatoką Ulbrigan. Po zbadaniu Pulo-Palauanu wędrowiec ten przerzucił się do Dumarau i wysp sąsiednich.

Z wiadomości otrzymanych od niego w Czerwcu r. b., okazało się, że przebywał na wyspie Paragua, gdzie rozpoznawał prądy rzek Babuau i Barbacau, a następnie zamierzał zwiedzić wyżyny tej wyspy.

W Kochinchinie pozostają dwie missye Aymonier'a i Dra Néis'a, lekarza marynarki.

Aymonier bada północną część Kochinchiny fracuzkiej; zbiera napisy starożytne, których odczytanie posłuży do rozjaśnienia przeszłości tego kraju, dziś osłoniętej tajemnicą, i do poznania czynników cywilizacyjnych, jakie po sobie następywały w tej części Indochin. Owocem dotychczasowym prac jego jest karta prowincyi pogranicznych Siamu i Kambodży. W roku ubiegłym Aymonier wyruszył do starożytnego królestwa Ciampa. Doktor Néis zamierzył zbadać ziemie nieoznaczane dotąd na kartach jeograficznych, położone między Luang-Prabang i granicą południową Yun-Nan, z jednej strony, a Tong-King i księztwem Trane-Ninh, z drugiej.

Między innemi Néis zaznacza rozwój zalewu Hôs przez ludność chińską, która z wyżyn Sug-Hoï rozpostarła swe zagony po całym kraju Puen, i naciska ze wszech stron Luang-Prabang.

W okolicach poblizkich biegunom północnemu i południowemu funkcyonują już od lat kilku obserwatorya meteorologiczne, oraz magnetyzmu ziemskiego, urządzone przez główne państwa Europy i przez Stany Zjednoczone. Obserwatoryum francuzkie założonem zostało przy Zatoce Pomarańczowej leżącej w wykroju wyspy Hoste, na krańcu Ameryki południowej, wpobliżu przylądka Horn.

Niezależnie od tej stacyi statek *Romanche* pod dowództwem Martial'a krąży po morzu i odbywa obserwacye ważne dla meteorologii i przyrodoznawstwa.

W Afryce operują trzy wielkie wyprawy francuzkie naukowe. Pierwsza, wysłana przez Instytut archeologiczny do Kairu, druga zwiedza kraje tunetańskie, trzecia bada zachodnie ziemie afrykańskie, to jest położone między Ogue, niższym Kongo i Oceanem.

Oprócz tego trzy wyprawy wyruszyły do Afryki: jedna pod kierunkiem Leona Teisserenc de Bort'a, bada południowe prowincye Konstantyny, druga pod dowództwem Jerzego Révoil kraj Komalis, trzecią wreszcie zarządza Wiktor Giraud porucznik okrętu na wielkich jeziorach afrykańskich. Jak widzimy z tego zarysu, w wyprawach zamorskich naukowych Francya zajmuje pierwsze miejsce w krzątaniu się o zdobycze wiedzy.

W. Niewiadomski.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* **dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: Kora, arkusz 20-ty i 21-szy, przez Mrs Forrester.**

TREŚĆ. Na ruinach, (poezya), przez Szczęsną. — Złamana tarcza, Powieść), (dalszy ciąg) — Nasze towarzystwa i salony (Odczyt), przez Piotra Jaxę Bykowskiego. — **Nowiny paryzkie.** — **Kronika działalności kobiecej.** — **Korrespondencya zagraniczna**, Wiedeń. — **Z działu przyrody**, (dokończenie), przez W. Niewiadomskiego.

Dodatek obejmuje: Dokończenie powieści pod tytułem: **Kora**, przez Mrs Forrester. — Przegląd mód. — 31 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — **Sekreta gospodarskie** — Dyspozycyą stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 26 Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Ноября 1885 года.

Tom XXI. Rok 1885.

DODATEK DO BLUSZCZU.

Nr 49.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

Przegląd mód.

Futra. — Nowy rodzaj dywanów. — Lalki.

Wszystkie szczegóły kobiecego ubioru, sa wystawione na ciągłe zmiany mody, jedynie futra, jako już rzecz kosztowniejsza, mniej podlegają temu prawu i jeżeli pewne gatunki futer mniej bywają używane niż dawniej, a nowe wchodzą w użycie, zależy to głównie od tego, co handel futrami, prowadzony w stronach dalekich, dostarcza na rynki nasze. I tak: jeżeli tak zwane damskie elki, od lat kilku zupełnie zarzuconemi zostały, to wskutek tego, że były mało ciepłe, choć przy mocnej skórze i mocnym włosie są trwałe, daleko praktyczniejsze lisy zastąpiły je, jako podbicie salop, choć mają tę niedogodność, że ich miękki, bujny włos, zawsze trochę wychodzi i zostaje na ubraniu; przecież lisy wirgińskie, o pasach białych z żółtem, już temu nie podlegają i są wybornem, miękkiem, ciepłem futrem, odpowiadającem naszemu klimatowi. Lisy niebieskie, niezmiernie puszyste i miłe, lisy czarne należą już do futer gatunków wysokich, jak również sobole i tumaki. Tumaki, futro wyborne: lekkie, miękkie i trwałe, trwalsze o wiele od lisów i nie wyłażące, wychodzą zupełnie z użycia, a to z przyczyny, że kosztowne, zwłaszcza w swoich gatunkach wyborowych, zmieniały jednak z czasem kolor i tak kołnierz, jak i obłożenie tumakowe, musiało być często odświeżane. Przyłożyła się do tego porzucenia tumaków i ta okoliczność, że zwierzątko które, je daje, kuna leśna, zbyt tępiona, zaczyna stawać się rzadkością. Zawsze przecież kto tumaki dobre ma, powinien je, zwłaszcza jako podbicie, uważać za rzecz bardzo cenną. Z futer lżejszych, najlepsze na podbicie są popielice, „petit gris“, czem są ciemniejsze i równiejsze w kolorze, tem lepsze; również nurki i piżmowce. Gronostaje, które bardzo z mody wyszły, mimo swej wspaniałej nazwy, należą dziś do futer tanich; wróżą im przecież znowu dawne powodzenie i nawet radzę zaopatrzenie się w nie, póki jeszcze sprzedawane są po obecnych nizkich cenach. Futro to łatwo się brudzi, ale też i pranie, to jest oczyszczenie go, jest bardzo łatwe: wycierając je otrębami pszennemi uważnie, oczyści się z wszelkiego brudu, który szczególniej na kołnierzu od szyi widzić się daje. U zarzutek balowych gronostaje zawsze pięknie wyglądają.

Ale bardzo często trzeba stosować podbicie futra do fasonu noszonego, otóż noszą się: rotondy, dolmany większe i mniejsze, polonezy mniej i więcej wcięte, krótkie kaftaniki. Obłożone to bywa rozmaitemi futrami: do najmodniejszych należą bobry kamczackie, wydry kamczackie i labradorskie, szenszyle, luksy, farbowane oposum. Ładne jest także futerko z psa morskiego, oraz farbowane z piżmowców, zwane kastoretami; te ostatnie błyszczące, czarne, nie jest zbyt miękkie, więc i nie wyciera się nie niszczy prędko, przytem nie drogie, a wygląda bardzo dobrze. Baranki odpowiadają dzisiejszym kosmatym materyałom i dobrze przy nich wyglądają. Przy krótkich kaftanikach spacerowych z pluszu, najładniej jest dać klapę i kołnierz wydrowy. O materyałach na salopy i futra w ogóle, już pisaliśmy; bywają droższe i tańsze: materyału „frisé“ brokateli, aksamitu używa się na paradniejsze; skromniejsze robi się z materyałów wełnianych w duży deseń, z nowych materyałów z długim, wystającym włosem. Rozmaitość jest wielka i ponieważ jedwab', dziś bardzo nietrwały, bo wyświeca się bardzo prędko, w sposób dla oka nie miły, zastę-

Nr 1. Suknia z „satin-duchesse“. Plecy. (Do ryc. 3). Opis odwr. str. tabl.

Nr 2. Suknia z kaszmiru. Opis pierw. str. tabl.

Nr 3. Suknia z „satin-duchesse“. Przód. (Do ryc. 1). Opis odwr. str. tabl.

pują go bardzo piękne materyały wełniane. Mufki robią się małe, najczęściej z fantazyjnych materyałów w połączeniu z futrem, z małą kieszonką; kołnierz może być stojący lub wyłożony, boa i pelerynek futrzanych, mało już noszą tej zimy. Natomiast coraz bardziej w użycie wchodzą obszycia futrzane, do kostiumów spacerowych lub łyżwiarskich, te ostatnie robią się zwykle z sukna szafirowego, lub ciemno-zielonego, z oszyciem z amerykańskiego sobola. Rozróżniać trzeba sobole amerykańskie od sybirskiego sobola, o wiele kosztowniejszego, z którego wyrabiają się męzkie czapki i kołnierze, gdy tymczasem futro z amerykańskiego sobola, nadaje się bardzo dobrze do kostiumów, a wygląda daleko wspanialej, niż luksy, oposum, a nawet bobry.

W magazynie gotowych kostiumów pani Anny (róg ulicy Marszałkowskiej i Próżnej), widzieliśmy śliczny obstalowany kostium w tym rodzaju, z ciemno-szafirowego, nowego koloru, w odcieniu modnym kamienia szafiru — szewiotu, w dole obłożony własnie takim amerykańskim sobolem, śliczny kaftan krótki do figury, cały obłożony, miał mały wyłożony kołnierzyk z klapą wywiniętą — z tyłu prosto fantazyjnie upięta draperya, przechodziła z przodu, spięta na boku na klamrę — do tego mała ale głęboka czapeczka z takiegoż futerka z denkiem z materyału sukni — całość była nowa i śliczna.

Na męzkie futra najpiękniejsze są nurki z kołnierzem i odnową tumakową, z sybirskich soboli, labradorskiego bobra, lub wydry.

Derki do powozów używane, robią się z lisów wirgińskich, z pstrych skunksów, piżmowców lub wilków, a podszywają suknem wyłożonem u brzegu.

W sferze dywanów, największą nowością są dywany z kawałeczków futra, jak mozajka ułożonych i zeszytych, będące oznaką nowego pomysłu rękodzielnictwa kuśnierzy. Prześliczne takie dywany widzieliśmy w Składzie futer pana Starkmana w gmachu teatralnym. Nowość zawsze zajmuje oko — otóż oderwać nie można było oczu od ślicznych fantazyjnych deseni, ułożonych z rozmaitych ścinków futrzanych. Głównie dywany takie mają zastosowanie do męzkich gabinetow, lub sypialni. W czasach takiego zastoju interesów, panowie kuśnierze mniejszych zasobów, powinni z małych, zbieranych ciągle skrawek, urządzać takie dywany, wystawiać je w wystawach sklepowych, dla obznajmienia publiczności z niemi, a będą mieli nowe źródło, dotąd nieznane zarobku.

Lalka, to zawsze najlepsza zabawka dla dziewczynki, bo dla lalki uczy się ona szyć i nabiera zamiłowania do tych robót kobiecych, które kiedyś kobieta powinna liczyć do obowiązków swoich dobrej gospodyni. Przed zbliżającą się Gwiazdką, gdy niejedna matka chce też obdarować swoją pieszczoszkę lalką, powiedzmy kilka słów w tym przedmiocie. Głos ogółu powstawał przeciwko zbyt eleganckim, zbyt strojnym lalkom, jako psującym już małe dzieci, szczepiąc w nich chęć do strojów i zamiłowania zbytku. Powstawano także z niemniejszą słusznością, na sprowadzanie lalek zagranicznych, upominano się o lalki w naszych ludowych lub charakterystycznych ubiorach. Podobne lalki dawały na wystawy pracy kobiecej i na tegoroczną wystawę przemysłową hrabianki Zamojskie, obok których przedstawiła też podobne p. Helena Roszkowska, obdarzona za nie wzmianką pochwalną i u której oglądaliśmy właśnie przygotowane na Gwiazdkę bardzo ładne lalki: krakowianki i w zwykłych ubiorach spacerowych, a nawet balowych, ubrane jednak tak, że mała ich posiadaczka może je rozbierać i ubierać. Zaletą ich jest również umiarkowana cena, bo za 1 rs. można już tu dostać wcale ładną lalkę. Lalki te mają jeszcze przywilej nie tłuczenia się, bo są z jakiegoś wyrobu zastępującego porcelanę i wytrzymałego na uderzenia i upadki. Znaleść je można przy ulicy Niecałej, w składzie wszelkich przyborów do sukien, oraz wstążek i koronek wspomnianej wyżej p. Roszkowskiej.

L. C.

Lalka robotą szydełkową.

Rycina Nr 12.

Ubranie lalki wysokiej na 20 c., składa się z majteczek, żakiecika, kamizeleczki i czapeczki z ciemnopąsowej i białej gobelinowej włóczki. Majteczki robią się pąsową włóczką, każdą połowę oddzielnie, zaczynając od dołu na założe-

Nr 5. Kapelusik dla lalki pod ryc. 4.

Nr 6. Kapelusik dla lalki pod ryc. 19.

Nr 4. Chuśtawka z lalką. (Do ryc. 5, 9, 10 i 15). Opis pierw. str. tabl.

Nr 7. Kaftanik dla lalki do ryc. 19 Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 21—23.

Nr 11. Lalka w sukience robotą szydełkową.

Nr 13. Trzewiczki dla lalki szydełk. robotą. (Do r. 19).

Nr 14. Powijak do wyprawki r. 19.

Nr 12 Lalka w ubraniu szydełkową robotą.

Nr 8. Spódniczka flanelowa dla lalki ryc. 19. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 27 do 29.

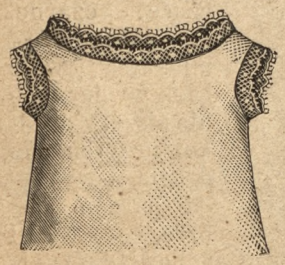

Nr 9. Koszulka dla lalki do r. 4. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 25.

Nr 10. Majteczki dla lalki do r. 4 Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VI. fig. 25.

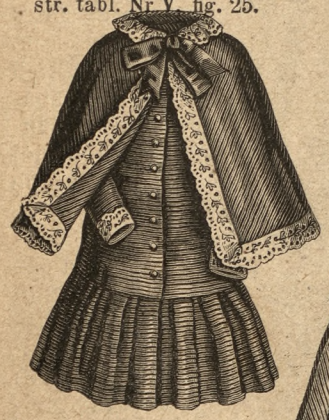

Nr 15. Sukienka dla lalki pod ryc. 4. Krój i opis odw str. tab. Nr XII, fig. 48 do 52.

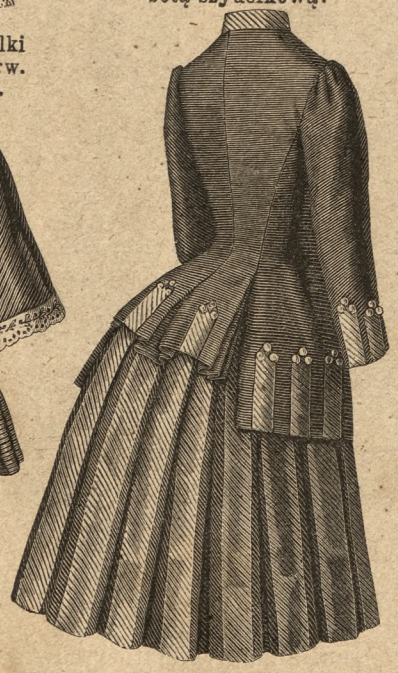

Nr 17. Sukienka dla dziewczynki od 8 do 10 lat. Plecy. (Do r. 14 w B. Nr 50). Krój i opisodw. str. tab. Nr X, fig. 34—42.

Nr 19. Lalka z wyprawką. (Do ryc. 6, 8, 13 i 14).

Nr 18. Sukienka dla dziewczynki od 9 do 11 lat. Plecy. (Do ryc. 15 w Blu. Nr 50).

Nr 16. Sukienka szydełkową robotą.

niu z 15 oczek w około. Kolej 10 ścisłych ocz., od 2 kolei, przejmując obie żyłki każdego, w końcu 2 kolei i następnych 8 kolei przybiera się dwa oczka w ostatnie. Ostatnie oczko drugiej połowy połączyć z odpowiedniem o. pierwszej i następnie robić w koło dwóch połówek 14 kolei jednakowo; u góry przeciągnąć tasiemkę do wiązania. Żakiecik zaczyna się także od dołu, na założeniu z 22 oczek, aż do wycięcia pachy 9 kolei w jednym kierunku, od 2 do 5 kolei przybierając 1 ocz. przy rozpoczęciu i zakończeniu każdej kolei. Od 10 do 14 kolei robią się plecy i przody oddzielnie, pierwsze na 14 oczkach środkowych, drugie na 6 z każdej strony, poczem należy części połączyć ze sobą rzędem ścis. ocz. i cały kaftanik obrobić w około 1 koleją ści. ocz., zarabiając pozostałe końce włóczki. Na rękaw przerobić 7 o. brzeżnych, przy wycięciu pachy, od strony pleców, 7 ścis. ocz. w poprzednie i 8 ścis. ocz. w brzeżne ocz. od przodów. 11 kolei w koło, w 5 i 6 kolei, przy rozpoczęciu dwa ostatnie o. razem przerobić; rękawek u dołu, a żakiecik z przodu obrabia się 1 koleją z białej włóczki. Kamizelka z białej włóczki na 16 oczkach założenia: najbliższe opuścić, 14 ścis. ocz. w następne 14 o., 2 ścis. ocz. w następne 14 ścis. ocz. w drugą żyłkę tychże samych 14 o. Kolej 2: 15 słup. w pierwsze 15 ocz., 4 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w te same, co ostatni słup., 1 ścis. ocz. w następne, 4 pow. o. i 1 słup. w te same, 14 słup. w następne 14 ocz., poczem wzdłuż przeciwległego brzegu kamizelki, trzy razy po 2 ścis. ocz. i 4 pow. ocz. w następne ocz., a potem na rzęd pikotów, przy wykroju szyi 5 razy naprzemian: 5 pow. ocz. i ścis. ocz. w pierwsze z nich, tak skończoną kamizelkę połączyć z żakiecikiem podług ryciny. Czapeczka robi się pąsową włóczką, zaczynając od środka, na założeniu 5 pow. ocz. ściągniętych w kółko. Kolej 1: 3 pow. ocz., 11 słup. w koło, w końcu 1 łańcuszkowe ocz. w 3 z pierwszych 3 pow. ocz. Kolej 2 ciągle: 2 ścis. ocz. w każde ocz. poprzedniej kolei. Kolej 3 do 18 ciągle: 1 ścis. ocz. w każde poprzedniej kolei, lecz do 11 kolei należy w odstępach, wedle potrzeby przybierać, ażeby się robota nie odymała, nasz model ma w tej kolei 60 ścis. ocz. W kolei 12 do 14 należy zgubić około 28 oczek w równych odstępach, a ostatnie 4 koleje przerobić gładko, bez gubienia. W samym środku przybrać czapeczkę pomponikiem z włóczki.

Trzewiczki dla lalki szydełkową robotą.

Rycina Nr 13.

Trzewiczki robią się włóczką różową i białą, a przybierają na wierzchu kokardką, z atłasowej różowej wstążki, w której umieszcza się porcelanowy guziczek. U góry przez ażurowy brzeżek przeciągają się z włóczki zrobione sznureczki, zakończone kwaścikami służące do wiązania. Zaczyna się od nosków, na założeniu z 8 ocz., tam i z powrotem, kolej 1, różową włóczką, kolej 2 białą i naprzemian. Kolej 1: 3 pierwsze ocz. opuścić, 2 razy po 2 słup. w najbliższe o., poczem 3 słup. w następne o., 2 słup. w najbliższe o., 3 słup. w następne ocz. Kolej 2, prawa strona roboty: 5 słupków w najbliższe 5 ocz. poprzedniej kolei, 2 słup. w następne ocz., 3 słup. w najbliższe 2 słup. w następne o., 5 słup. w najbliższe, 5 ocz. Kolej 3 tak samo jak poprzednia, tylko przy rozpoczęciu i zakończeniu po 7 słup. Kolej 4 do 12 ciągle: w najbliższe 8 ocz. poprzedniej kolei po 1 słu. w każde ocz. Ostatnie oczka połączyć z brzeżnemi 8 ocz. i w koło obrabia się trzewiczek 4 kolejami, przeplatając każdą 1 słup., 1 ocz. pow. i 1 koleją, w której ciągle naprzemian: 2 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w najbliższe ocz. Na podeszewkę robi się, na założeniu z 4 oczek, 11 kolei ścis. ocz.; w 2 do 4 kolei dobierając po 1 ocz.: w 6 do 8 kolei gubiąc po 1 ocz., skończoną podeszewkę przyszywa się do trzewiczka.

Nr 20. Haft do koszyczka ryc. 21 gałązkowym i rybiej łuszczki ściegiem.

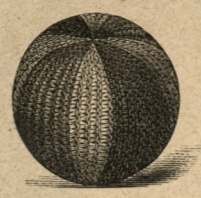

Nr 22. Piłka pokryta drutową robotą.

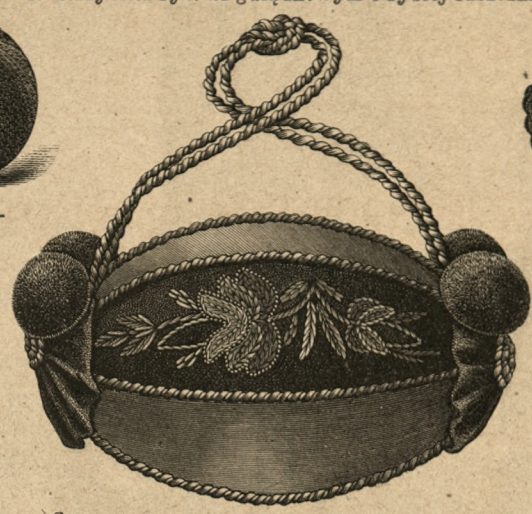

Nr 21. Koszyczek do roboty. (Do ryc. 20). Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 26.

Nr 23. Przykrycie na lampę w kształcie kapelusika szydełkową robotą.

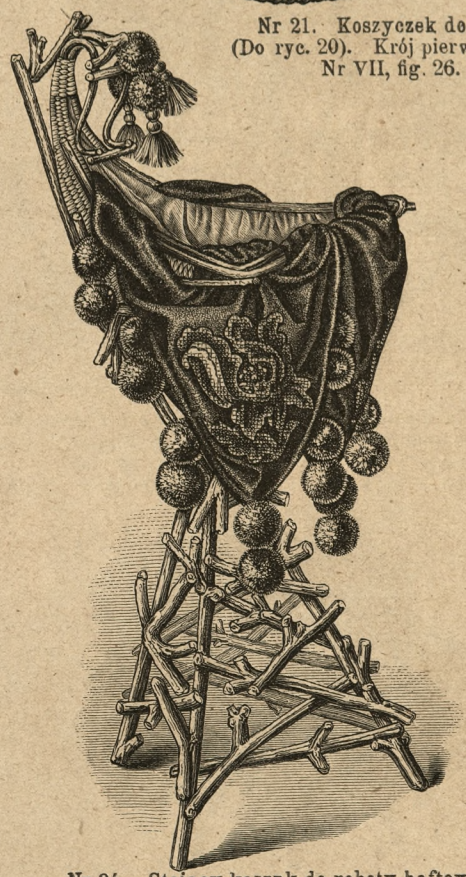

Nr 24. Stojący koszyk do roboty haftowany.

Koszyczek do roboty gałązkowym i rybiej łuszczki ściegiem haftowany.

Rycina Nr 20 i 21. Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 26.

Na koszyczek zrobiony z aksamitu pąsowego i takiegoż atłasu, trzeba przedewszystkiem wyciąć z tektury, podług fig. 26, sześć równych części, z których 3 należy obciągnąć aksamitem, na którym jest wykonany haft, trzy pozostałe zaś atłasem. Haft wykonywa się ściegiem gałązkowym i rybiej łuszczki, podług ryciny 20, rozpołowioną filozelą, w różnych kolorach, a mianowicie: kwiaty filozelą koloru ceglastego, liście zaś i gałązki oliwkową, bronzową i niebieską w kilku cieniach, otaczając środkowy kwiat złotą przędzą. Potem wszystkie części podszyte kamlotem, zeszywają się z sobą naprzemian: jedna część z aksamitu, jedna z atłasu; ostatnia podkłada się jeszcze tekturową formą, 2 cent. szeroką, obciąga i podszywa atłasem, szwy przykrywają się sznurem z pąsowego jedwabiu i złotego szychu, takiż sznur przyszywa się na dwóch przeciwległych końcach owalnego koszyczka, które się przybierają rozetami z aksamitu, oraz bombelkami z jedwabiu, podług ryciny 21. Za przyciśnięciem koszyczek powinien się otwierać.

Piłka obrobiona drutową robotą.

Rycina Nr 22.

Futerał na piłkę musi być zastosowany do rozmiarów takowej, nasz modelik zrobiony jest na założeniu z 27 oczek, na których robi się tam i z powrotem 2 koleje żółtą włóczką, 2 koleje białą, 2 żółtą, 12 kolei czerwoną, 2 koleje żółtą, 2 białą, 2 żółtą, 12 kolei niebieską, przyczem pozostające końce włóczki się zarabiają. Powtórzyć jeszcze raz taką samą ilość kolei, w tym samem porządku kolorów, a ostatni rzęd oczek przerobić z oczkami założenia, poczem należy włożyć futerał na piłkę, przewlec mocny sznurek przez wszystkie brzeżne oczka z każdej strony i ściągnąć takowy.

Przykrycie na szkło do lampy w kształcie kapelusika robotą szydełkową.

Rycina Nr 23.

Nasz modelik zrobiony jest z błyszczącej włóczki koloru ceglastego, ścisłemi oczkami na podłożeniu ze sznurka, brzeg obrobiony rzędem oczek sznelką ciemniejszego nieco koloru. Na wierzchu kapelusik przybrany jest pękiem pukielków ze szneli i wstążki aksamitnej koloru „saumon". Kolej 1: 12 ścis. ocz. na około sznurka, ściągnąć w kółeczko mocno. Kolej 2: 2 ścis. o. w każde ocz. na około sznurka. Kolej 3 naprzemian: 1 ścis. ocz. w najbliższe i 2 ścis. ocz. w następne oczko. Kolej 4: 2 ścis. o. w najbliższe dwa o. i 2 ścis. ocz. w następujące ocz. Kolej 5 do 14 ciągle: 1 ścis. ocz. w każde ocz.; w 10 i 11 kolei, 6 razy w równych odstępach, zamiast 1 ocz. ścis., 2 ścis. ocz. w jedno ocz.; w ostatnich 3 kolejach, 10 razy to samo przybranie oczek wykonać. Brzeg

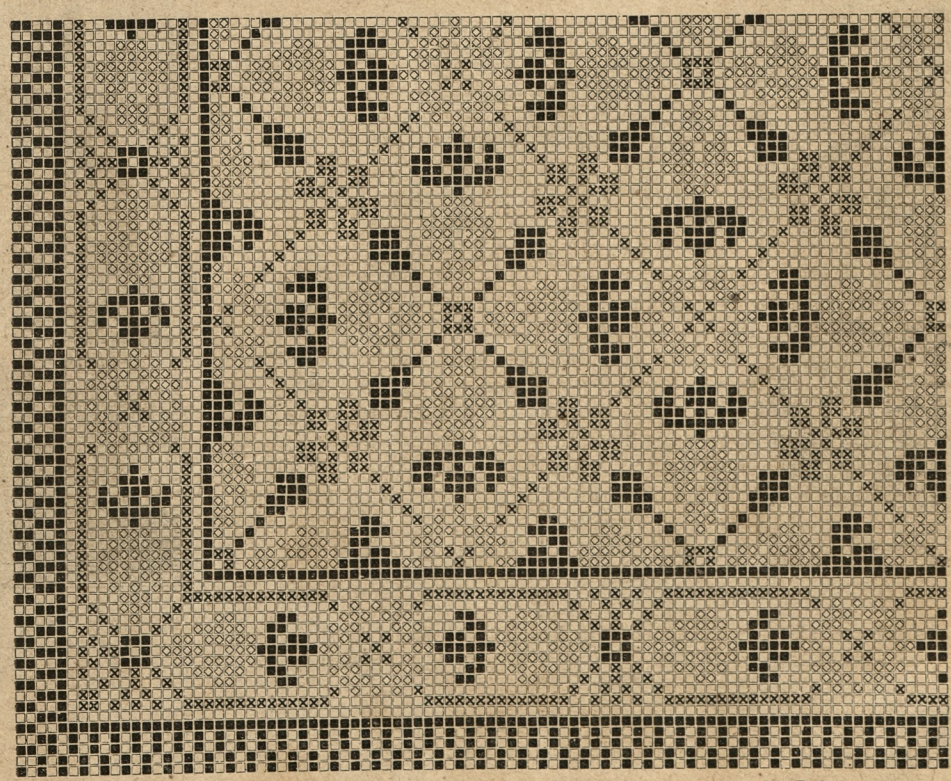

Objaśnienie znaków: ⊠ pąsowy, ■ ciemno-niebieski, ⊡ jasno-niebieski, □ tło.
Nr 25. Szlak na pokrycia, poduszki i t. p. krzyżowym ściegiem.

obrobić sznelką, nie podkładając już sznurka, * ścisłe oczko w najbliższe 2 ocz., 1 pow. ocz. w najbliższe 3 ocz., 1 pow. ocz. od * powtarzać, w końcu połączyć pierwsze z ostatniem ocz., odwrócić kapelusik z tyłu podług ryciny i zamocować kilkoma ściegami. Na przybranie należy 60 razy ułożyć po jednym pukielku ze szneli, 2 c. długości mającym i włóczką 1 ściś. oczkiem ściągnąć takowy, z powrotem 1 rząd ścis. ocz. i podług ryciny przybrać kapelusik pukielkami.

Kołnierzyk z wstążki.

Rycina Nr 29.

Kołnierzyk zrobiony jest na opasce z wstążki, 39 cent. długiej, a 3 i pół cent. szerokiej, w środku w fałdeczkę złożonej, składa się z dwóch rzędów odwróconych pukielków z wstążki atłasowej, z których każdy zakończony grelotkami z paciorek i złotej gazy. Takież grelotki przyszyte są do opaski po nad pukielkami.

Nr 26. Suknia dla dziewczynki od 4 do 6 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 43 — 47.

Nr 27. Ubranie dla panienki od 11 do 13 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 7 do 13.

Nr 28. Paltocik dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Opis odwr. str. tabl.

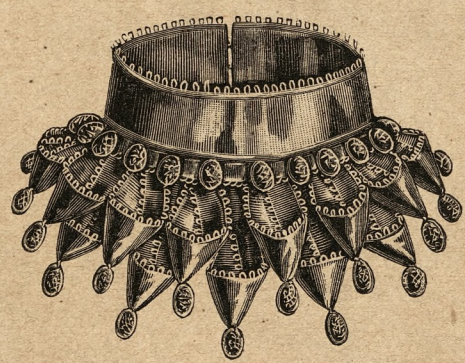

Nr 29. Kołnierzyk z wstążki.

Nr 30. Okrycie z aksamitu i koronki. Przód. (Do ryc. 31). Opis odwr. str. tabl.

Nr 31. Okrycie z aksamitu i koronki. Plecy. (Do r. 30). Opis odwr. str. tabl

Przepisy gospodarskie.

Eleganckie śniadanie ze śledzia.

Dwa śledzie dobrze namoczyć, na 12 godzin najmniej w mleku, gdy są wymoczone, obrać z ości i utłuc w moździerzu. Upiec 4 kartofle z łupiną, upieczone przetrzeć przez durszlak — włożyć w miskę śledzie i przetarte kartofle, wbić jedno całe jajko i rozmieszać bardzo mocno; w końcu wlać dwie łyżki dobrej kwaśnej śmietany i odrobinę pieprzu. Włożyć to w wysmarowany i mąką wysypany rondelek i wstawić w piec miernie gorący na 20 minut. Wyjdzie jak babka i jest wyborne, pulchne i smaczne.

Doświadczenia gospodarskie.

Chcąc się przekonać, czy trzon w piecu do ciasta nie jest za gorący, sypie się mąka — jeżeli się pali, dowód, że za gorący. Tak samo szczeluście, czyli tak zwane „podniebienie“ pieca, trzeba wypróbować, a że mąką nie można, więc się bierze w szczypce od węgli kawałek papieru i trzyma się wysoko, probując, jeżeli papier się pali, nie można stawiać ciasta — jeżeli zaś się tylko rumieni, to można.

L. Ć.

Obiad na Niedzielę

1. Zupa z jarzyn z grzankami.
2. Kotlety baranie z czerwoną kapustą.
3. Indyk pieczony z kompotem.
4. Budyń z szodonem.

Opis ryciny 11, 16 i 24 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dziś dołączonej.